№ 24. Warszawa, dnia 14 (2) Czerwca 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Z powodu zbliżającego się nowego kwartału ponawiamy naszą prośbę o wczesne nadsyłanie prenumeraty, o ile można, bezpośrednio do administracyi **Prawdy**.

Od 8 lipca Redakcya i Administracya PRAWDY mieścić się będą w domu przy ulicy Zielnej nr. 7-a.

PRAWO ROZWODOWE

(we Francyi).

W jakimkolwiek kierunku zwraca się Europa, Francya zawsze niemal postępuje na jej przedzie. I teraz znowu prześcignęła inne narody katolickie, zatwierdziwszy prawo, uzasadnione od wieków, wyżebrywane od upartego konserwatyzmu milionem nieszczęść i potokami łez, zapomocą kruczków i pieniędzy zdobywane ciągle — prawo rozwodu. Jeżeli są w życiu społeczeństw formy przestarzałe i skazane na niewątpliwą zagładę, to z pewnością takim kopalnym zabytkiem jest nierozwiązalność małżeństw. Straciła ona bowiem już wszystkie rozumne argumenty, którymi ją usiłowano podeprzeć, czepia się już tylko przesądów, ciemnoty lub chciwości tych, którym materyalne zyski zapewnia. Każda niemal chwila dostarcza przeciwko temu osądzonemu na śmierć anachronizmowi nowych gromów, akta sądowe i kroniki dziennikarskie gromadzą taką niezmierzoną ilość materyału dowodowego, że trzeba zdumiewać się nad powolnością narodów w rozwiązywaniu tej kwestyi, która już dziś nie jest wcale żadnym węzłem gordyjskim. Co tu pomogą wszelkie wykręty wobec kobiety bitej, okradanej i hańbionej przez męża, lub wobec mężczyzny, zdradzanego i osławianego przez żonę? Co pomogą wszystkie sofizmaty i cała nabożna paplanina wobec tych krwawych dramatów, które rozgrywają się w rodzinach i popychają, skrępowanych nierozerwalnym węzłem, do zbrodni? Jest to nikła pajęczyna, którą życie tchem swoim rozdziera. Szydzi ono okrutnie z bezpotrzebnych gwałtów naturze zadanych, z przymusowych związków, w których lęże się rozpusta, oszustwo i inne występki — szydzi z żon, dochowujących wierności ukrywającym się złodziejom, lub z mężów — ladacznic. Jest to piekielna ironia, szatański śmiech nad zarytą w uporze głupotą ludzkości, okuwającą się w kajdany własnemi rękami.

Na szale tej sprawy z największym ciężarem padała dbałość o dzieci, które w potarganych stadłach są nieraz ofiarą rodzicielskiego rozdziału. Dziecko, niezdolne samo stawiać czoła burzom losu, powinno być istotnie przedmiotem szczególnej opieki. Ale co mu w dzisiejszych stosunkach zapewnia nierozwiązalność małżeństwa? Udział w niedoli ojca lub matki, szarpiących się dla zerwania łańcucha. Nic ono na owym przymusie nie zyskuje, a daleko więcej traci, niż gdyby ostatecznie znalazło się przytulone do jednej lub drugiej strony. Podły ojciec lub niegodziwa matka jakąż mu dać mogą korzyść? Czy — przeciwnie — nie wciągną go w koło swych zboczeń lub szamotaniem się nie zdemoralizują?

Jakkolwiek w dobrodziejstwach prawa rozwodowego uczestniczyć będą obie płcie, bezwątpienia spadną one na kobietę miarą daleko większą. I mężczyzna cierpi, przykuty do żony, której nienawidzi lub którą gardzi, ale on w życiu może łatwiej zrównoważyć sobie zawód i wynagrodzić stratę. On jest swobodniejszym i energiczniejszym — on jest panem każdego położenia. Tymczasem kobieta bywa zwykle bezbronną ofiarą, pokutnicą za niepopełnione winy. Mężczyzna, który ją zdradza, najczęściej zabija. Nie dziwimy się przeto, że niewiasty francuskie zasypały Naqueta, głównego obrońcę ustawy rozwodowej, tysiącami piśmiennych dziękczynień. Uchwała senatu była chwilą, w której [illegible] narodu spada wielki ciężar i pozwala mu swobodniej odetchnąć.

Pamiętając o dzikich popędach natury ludzkiej nie jesteśmy zwolennikami stadeł luźnych, które lada kaprys, lada pijacka burda może rozciąć. Niech rozwody będą obwarowane najsurowszymi przepisami, niech prawo zezwala na nie tylko w wypadkach szczególnie ważnych, ale niech daje jakieś wyjście ludziom, niemogącym żyć łącznie, rozdzielonym górą uraz i smutków. Niech ono będzie ucieczką nie dla lekkomyślnych, ale dla nieszczęśliwych, niech nie gromadzi w łonie społeczeństwa lawy, która je ciągle rozdziera lub w niem nurtuje. Dotychczasowe manowce, otwarte jedynie dla tych ładunków, z którymi osioł Jugurty przełaził przez najwyższe mury Rzymu, i obsadzone podstępami, nie są środkiem ani dostatecznym, ani godziwym. Prawo powinno pamiętać o zranionych sercach, a nie o pełnych kieszeniach. We Francyi pamięć tę ono odzyskało. Zapewniło też ono narodowi wielki tryumf cywilizacyjny, wielkie święto postępu, który mimo wszelkich przeszkód zawsze się dźwiga i prędzej czy później przeszkody zwycięża.

USTĘPSTWA DOBROWOLNE.

II.

(Wprowadzenie prawa do pracy).

Prawo do pracy urzeczywistnionem być może tylko wtedy, gdy organa społeczeń-

stwa przyjmą na siebie dotąd im obce funkcye i dla sił zbywających urządzą roboty *publiczne*. Roboty te muszą być naturalnie zastosowane do warunków produkcyi prywatnej i rozszerzane lub ścieśniane w miarę, jak ona wzrasta lub spada. Tym sposobem społeczeństwo wystąpi jako współzawodnik przedsiębiorców, da masom zarobek i wpłynie na podwyższenie ich płacy. Stöpel wszakże przyznaje, że najtrudniejszą jest praktyczna kwestya urzeczywistnienia takiego planu z powodu braku odpowiednich doświadczeń. Probowano już zaradzić potrzebie na drodze dobroczynnej, zakładając kolonie dla żebraków, włóczęgów itd., ale to nie załatwia sprawy, wymagającej gruntu czysto ekonomicznego. Dla przykładu wskazuje autor na tym gruncie rozmaite dziedziny, w których jego ideę szczepić można. I tak—powiada on—istnieją w publicznem posiadaniu duże przestrzenie nieużytków, które zbywającemi od pracy rękami zamienić można na ziemię urodzajną lub wydobyć z nich bogactwa mineralne. Ręce te należałoby również zwrócić do osuszania błot i nawadniania łąk, do karczunku, budowy dróg, mostów itd. Organizacya tych przedsięwzięć winna się zacząć od podstawy ustroju społecznego—od gminy, a potem rozszerzyć się na okręg, prowincyę i całe państwo. W owom pierwszom kole należy ustanowić miejsca, gdzieby podaż z popytem sił roboczych spotykała się naprzód i gdzieby je regulowano z popytem i podażą przedsięwzięć prywatnych. Pierwsze zawiązki podobnej organizacyi wywołałyby przyjazny dla niej ruch w coraz dłuższym promieniu, aż nareszcie ona rozrosłaby się w ustrój szeroko rozgałęziony i ześrodkowany. „Nie ulega żadnej wątpliwości, że przyjęcie systematu, któryby z jednej strony czynił obowiązkowem dostarczenie pracy dla żywiołów odrzuconych ruchem przemysłu prywatnego, z drugiej zaś pozwalał na utworzenie potrzebnych środków kredytowych i obiegowych za pomocą bezprocentowych papierów państwa — wywarłoby wielki wpływ na dobrobyt narodu i że wkrótce kraj pokryłby się kapitałami jedynie trwałej formy ulepszeń ziemnych.“ Podczas zaś gdy tu spożytkowanoby siły surowe, specyalnie uzdolnione pozostałyby przy przemyśle prywatnym.

Stöpel obiecuje, że wcielenie się jego ideału przywróciłoby do pewnego stopnia naruszoną dziś stosunkami zależności od kapitału swobodę konkurencyi i uporządkowałoby pracę wogóle, wyrównawszy lepiej niż obecnie popyt z podażą. Dziś odbywa się ciągłe falowanie zarobków skutkiem zadawalanej lub niezadawalanej spekulacyi. Jeżeli nadzieja zysku w pewnej gałęzi pracy wzrasta, przedsiębiorcy rozszerzają produkcyę i wytwarzają wreszcie jej nadmiar, który prowadzi do spadku płacy i przymusowego bezrobocia. Otóż jasnem jest, że gdy ono zniknie przez państwowe zatrudnienie robotników, ścieśni się zakres spekulacyi przedsiębiorców a ceny towarów przyjdą do stalszej równowagi, „Ponieważ nacisk na płacę robotniczą, dotąd wyłącznie zależną od fabrykanta, zawrze się w określonych granicach, robotnik zaś będzie mu się opierał z większą swobodą, główny zatem czynnik ceny towarów, owa płaca, utrzymywać się będzie na pewnej średniej mierze i nie podlegać tak gwałtownym zmianom.“

Słowem, ustali się na ziemi, jeżeli nie cały raj, to przynajmniej znaczna jego cząstka.

Ażeby oszczędzić miejsca dla kilku uwag krytycznych, musimy po szczegółowsze poznanie tej utopii odesłać czytelnika do źródła. Tu zajmiemy się tylko jej myślą główną.

Niewątpliwie w powyższem rojeniu tkwią dwa pewniki: 1) że obecny ustrój kapitalistyczny musi na rzecz pracy zrobić dobrowolne ustępstwa i 2) że inicyatywę do nich da państwo i jego organa zagrożone wzrostem przymusowego bezrobocia, nędzy oraz wynikających z tego procesu wstrząśnień. Na to niech nikt oczu nie zamyka, gdyż mu je nieubłagana konieczność otworzy. Masy prawa do pracy się nie zrzekną, bo prawa do życia zrzec się nie mogą. Daremną i bezpłodną jest obrona wszystkich „świętych podwalin, na których spoczywa cywilizacya,“ czas je wysunąć, inne podłożyć i również oświęcić. Inna kwestya, czy doradzana w streszczonym wywodzie droga pozwoli zło wyminąć. Według nas — nie. Stöpel ma słuszność, twierdząc, że przemianę stosunków społecznych winna poprzedzić głębsza niż obecnie przemiana pojęć i dlatego socyalizm skrajny naprożno dziś wstrząsa kolumnami gmachu kapitalistycznego: na długo jeszcze pozostanie on marzeniem, kosztowną walką, lub — w najgorszych objawach—szaloną awanturą. Ale marzeniem również są owe „roboty publiczne“ i „organizacya pracy“ jako przeciwwaga dla niszczącej i samolubnej siły przedsięwzięć prywatnych. Taka organizacya wkrótce rozbiłaby się o niemożność współzawodnictwa z temi przedsięwzięciami, gdyby nie przyswoiła sobie ich — że tak powiemy — etyki, ich egoistycznej spekulacyi. Właśnie brak doświadczeń udatnych przekonywa, że to droga śliska, po której stąpać może jedynie... dobroczynność. Państwo i dziś zatrudnia pewną ilość rąk, które odciąga przemysłowi prywatnemu lub ratuje od przymusowego bezrobocia, ale przy najlepszej woli jako producent, regulujący ogólną wytwórczość narodu, wystąpić nie może. Kapitał prywatny w swej sumie to straszna potęga, której nadużyć i samolubstwa, ani uprawa nieużytków, osuszanie bagien i budowa mostów nie złamią współzawodnictwem. On ulegnie tylko prawom, ograniczającym jego krwawą lichwę, pobieraną w nieopłaconych znojach ludzkich. Zapewne, każda łatanina, chociażby papierem na blasze i korkiem w marmurze, dziury zatyka i na pewien czas złemu zapobiega, ale owo złe wraca i groźną kwestyę ponownie stawia. Przed Rotschildami i Mendelsohnami drżą mocarstwa, a cóż im poradzą wątłe środki przedsiębiorstw gminnych lub okręgowych!

Bądź co bądź, nawet tak minorowy ton jest charakterystycznym w akordach naszej epoki, która ciągle pieści lub rozdziera sobie uszy muzyką mniej lub więcej radykalnego socyalizmu.

ORGANISTA.

W kościółku działo się coś niezwykłego. Zauważył to stary Maciej, pędząc bydło z pola do chaty; zauważyli robotnicy wracający z łąki, ale i Maciej i robotnicy zatrzymali się na chwilę, popatrzyli na szare ściany kościółka, posłuchali, że ktoś gra w niezwykłej porze i poszli drogą do wioski. Gromada kobiet z grabiami wracała na końcu. Zdaleka już, zasłyszawszy granie, spojrzały na siebie zdziwione: przed bramą i na cmentarzu pusto, nigdzie ani żywego ducha, kościół zamknięty, pomimo to organy grają! Przed dwoma dniami zmarł organista, a wiadomo, że ani w wiosce, ani w miasteczku za rzeką nie było nikogo, ktoby grać umiał. Baby zdumione, przelęknione trochę, skupiły się przed wrotami.

— Może nieboszczyk? — szepnęła najodważniejsza.

Wzruszyły ramionami na znak powątpiewania. Wiedziały bowiem, że umarli tylko w nocy chodzą; zresztą organista — to może i o zmroku wstaje? Kto go tam wie!... Dopiero pierwszy umarł w ich wiosce! Uciekłyby może, ale ciekawość przykuła je do miejsca; spoglądały na kościół, szturchały się łokciami przy każdym głośniejszym akordzie; kolana drżały trochę; lecz tak w kupie, a do tego z grabiami na ramieniu nie lękały się ducha, chociażby nim był sam organista! Zachodzące słońce złociło dach kościoła, załamywało się w małych szybach, nadając pozór rzęsistego oświetlenia. Ciepły wieczór letni rozesłał się do koła. W starych lipach, otaczających cmentarz, trzepotały ptaki, układając się do snu; kilku wróbli skakało jeszcze na dachu. Wkrótce i te spóźnione włóczęgi frunęły z szelestem i znikły wśród gęstych gałęzi. Przez chwilę słychać było wojowniczy szczebiot; szare hajdamaki czubiły się zapewne ze spokojniejszą bracią. Jeden spadł na trawę, zerwał się na równe nogi i jak niepyszny poleciał szukać schronienia w sąsiednim drzewie. Był to zapewne główny przedstawiciel opozycyi, gdyż po jego zniknięciu spokój zapanował pod zielonem sklepieniem. Słychać było tylko szelest skrzydeł, szmer liści, w końcu i to ucichło. Lipy stały poważne, nieruchome, niby ciemno zielony wał, odgradzający cmentarz od całego świata; a żaden sędzia śledczy nie domyśliłby się, że pod tem wonnem cichem sklepieniem uderza tysiące serduszek i tyloż główek śni o pieśniach i swobodzie. Ciszę przerywało szczekanie psów gdzieś za rzeką, ale było tak słabe, tak niewyraźne, że żaden burek we wsi nie raczył na nie odpowiedzieć: poruszały ogonami, leżąc przed chatą, a na znak zupełnego lekceważenia odwróciły głowy w przeciwną stronę. Organy wciąż grały; głębokie, wyraźne akordy powtarzały się w różnych zakątkach cmentarza; zmieszane z wieczorną rosą, z zapachem przeróżnych ziół, płynęły gdzieś w przestrzeń, po nad lipami. Babom przychodziło na myśl, że może on na całą noc zabrał się do kościoła? Znudzone wyczekiwaniem przypomniały sobie o dzieciach, o krowach i świniach; zaczęły spoglądać ku wiosce, gdy z za kościoła wyszedł zakrystyan z kluczami.

— Czego stoicie? A! dziwo wielkie! Nie słyszały muzyki! — wołał, idąc ku wrotom.

— Któż tam gra?

— Kto? Nieboszczyk, wiadomo! Eh głupie! Stare już, a nie wiedzą, że żaden nieboszczyk przed północą z grobu nie wstaje! dodał, spostrzegłszy, że baby spoglądają z niedowierzaniem. Przyszło dwóch jakichś,

JESZCZE O GRECYI.

Wzmianka o obchodzie rocznicy niepodległości Grecyi w *Prawdzie* pozostawiła jeszcze po sobie kwestyę jedną, mogącą zainteresować czytelników. Mamy na myśli rolę, jaką Grecya odgrywa wobec spraw, krzyżujących się na półwyspie bałkańskim. Plącze się tam ich niemało; interesującemi zaś one są dla nas z tego względu, że wpleceni w nie są nasi pobratymcy: serbowie, bulgarowie, bośniacy, czarnogórcy — szczepy słowiańskie, mające z nami styczność niejaką — bodaj filologiczną i etnologiczną. Gdyby i tego nie było, toć i tak — stanowimy przecie rodzinę europejską, której członkowie mają się do siebie, jak bile na bilardzie. Potrącenie jednej popycha drugą. Czy przeto ludy słowiańskie na półwyspie bałkańskim będziemy uważali jako pobratymcze, czy jako europejskie, zawsze rzeczą jest ciekawą i do pewnego stopnia ważną znać stosunek, w jakim one pozostają do greków.

Stosunek ów urobił się z czasem, dzięki przyczynom, tonącym w przeszłości najodleglejszej. Tkwią w nich fakty i daty, w których ciekawy rozpatrzeć się może w Ernesta Kurtiusa *Historyi Grecyi* i J. E. Droysena *Historyi hellenizmu*, jeżeli badać nie chce całej a rozległej literatury, na którą złożyli się tak niemcy, jak francuzi, anglicy, włosi. Nie sięgnę tak daleko. Ograniczę się okresami późniejszymi i osobliwością jedną, wyrażającą się tem, że, gdy zamieszkujące półwysep bałkański ludy przeszły pod panowanie tureckie, to jarzmo zaciężyło na nich jednakowo, wspólność niedoli była ściśle tożsamą, we wspólności tej atoli zachodziły różnice znaczne w uczuciach jednych narodów względem drugich. Serbowie, bośniacy, czarnogórcy, dalej rumuni mniej więcej sobie sprzyjali, wszyscy oni wszakże greków nienawidzili. Nienawiść ta była powszechną, a tak wielką, że przekładali nad nich nawet turków. Fakt ten jest osobliwością, jak również i drugi, że, kiedy grecy przykład otrząsania się z jarzma tureckiego dali, za nimi poszli wszyscy. Naśladowanymi byli nienawidzeni.

Nienawiść dla greków, w oderwaniu wzięta jest dziwna, przestaje atoli być nią, gdy się rozpatrzymy w polityce greckiej i niewoli.

Polityka i niewola? Wyrazy te, zdaje się, sprzęgać się z sobą nie mogą. Polityka wszakże, polegająca na strzeżeniu pewnej drogi postępowania, praktykować się może i w niewoli. Pod panowaniem tureckiem widzimy to wyraźnie. Słowianie i rumuni zdali się na wolę opatrzności i z głowami pochylonemi szli w pługu, wzdychając do zmiłowania bożego. „Będzie, co Bóg da" — taką była ich reguła i droga polityczna. Grekom kierunek wskazywała ich tradycya historyczna. Upadli z pretensyą do panowania na półwyspie bałkańskim i nie rozstawali się z nią ani na chwilę. To ich nieprzyjaźnie stawiało względem ludów słowiańskich i rumuńskich. Jarzmo na nich ciążyło wspólne; porozumieć się jednak nie mogli; grecy bowiem ciągle za panów się mieli i charakteru tego pozbyć się nie chcieli. Rozbrat, który pomiędzy współziomkami Szymona Wielkiego, Duszana Silnego, Michaja-Wody a nimi istniał przedtem, istniał i nadal, odtrącał jednych od drugich, a pchał i wepchnął greków w objęcia turków. Nastąpiło to samo przez się. Turcy, acz zdobywcy, potężni, władcy rzeczywiści, jako władcy atoli naccchowani byli charakterem tymczasowości, przywiązanym do państw, tworzonych siłą oręża. W krajach podbitych przedstawiali oni ramy, nie co innego. Ten ich charakter grecy instynktowo odgadli i związali się z nimi przeciwko właścicielom naturalnym gruntu, na którym we wspomnieniach widniała budowla historyczna cesarstwa Wschodniego. Wszak po zdobyciu przez Mahometa II Konstantynopola i wyemigrowaniu oświaty greckiej, do turków się przygarnęli.

Zdobywcy zajęli kraj, w którym nie samo tylko bezduszne i bezmowne znaleźli przedmioty. Kraj ów zamieszkiwanym był przez ludzi, nadających się do użytku odpowiedniego, ale potrzeba było porozumiewać się z nimi. Porozumienie by z konieczności rzeczy nastąpiło: albo by turcy nauczyli się po słowiańsku, albo słowianie po turecku. Grecy potrzebę uczenia się zbyteczną uczynili: na pośredników się podstawili i na stanowisku tym trzy z górą wieki pozostali. Stanowisko to dawało im w ręce rzeczywiste władanie w krajach opanowanych przez turków. Jedni panowali, drudzy władali, rozszerzając zakres władzy coraz bardziej. Zrazu występują skromnie, jako tłomacze i golibrodowie przy osobach wysokich dostojników i urzędników, następnie zagarniają władzę kościelną w ręce swoje wyłącznie, w końcu dobijają się urzędów wysokich: Porta z pośrodka nich wybiera i mianuje w Mołdawii i Wołoszczyznie hospodarów; im powierza prowadzenie spraw dyplomatycznych; im w dzierżawę wypuszcza podatki; do nich się w kłopotach finansowych odwołuje—oni faktycznie władają, z oka pretensyi swoich nie spuszczając. Wskutek tych pretensyj, cała ich śród ludów słowiańskich działalność odbywa się pod hasłem: „nic dla kogo, wszystko dla Grecyi!" Dla serbów, dla bulgarów, dla rumunów są bez miłosierdzia — za ludzi ich nie mają—pomiatają nimi. Kolonizują się po miastach i miasteczkach i zajmują stanowiska w taki sposób, że — gdzie turcy, tam grecy. Pierwsi bez drugich obejść się nie mogą, ale drudzy, pozostając z ludnością w styczności bezpośredniej, dokuczają jej wszędzie i na każdem miejscu. Kiedy w czasach ostatnich wystąpiła na wierzch sprawa oświaty, grecy i ją w ręce swoje pochwycili, zakładając tu i owdzie szkółki — greckie.

Taką była polityka grecka w niewoli. Nie dziw przeto, że urobiła ona nienawiść ze strony tych, co — jak się zdaje — mieli racyę zupełną za pokrzywdzonych się uważać.

Mimo to, wieści o kleftach, o suliotach przyjmowali słowianie sympatycznie. Nie wiedzieli może, że klefci i sulioci są współziomkami greków, z którymi oni do czynienia mieli, a może wiedzieli, ale odróżniali czyn od sprawców. Bądź co bądź, sympatyzowali i niebawem, przy sposobności zdarzonej, tejże samej drogi się chwycili. Walki słowiańskie przeciwko panowaniu tureckiemu są naśladownictwem i wynikiem walk greckich. Grecy zapoczątkowali; słowianie za przykładem ich poszli. Ci ostatni jednak, oręża się imając, występowali zarówno przeciwko turkom i przeciwko grekom.

Tak rzeczy pozostały do dnia dzisiejszego.

Nienawiść do greków w ziemiach słowiańskich nie zmniejszyła się ani trochę. Jak za panowania tureckiego, tak obecnie, kiedy serbowie i bulgarowie samoistność narodową posiedli, „grek" jest wyrazem, który się wymawia z przyciskiem gniewliwym i z akcentem żalu.

Polityka grecka w niewoli błędną przeto była.

Tak — była błędną, cechowała ją wyłączność: trzymała się jedynie wytycznej historycznej, nie uwzględniając warunków, w jakich się przejawiały objawy dziejowe.

Zachodzi pytanie: czy się nie zmieniła obecnie?

Niestety, nie zmieniła się, chyba o tyle, że szuka formuły, pod którą by się wyrazić mogła hegemonia grecka i któraby kwestyę

---

na służbę proszą się, to ksiądz próbuje, który lepiej gra, ot i wszystko!

— A... ha!

Baby żałowały trochę, że nie duch. Strachu byłoby dosyć, ale i dziwa nie mało; teraz muszą z próżnemi gębami wracać do chaty. Żywy organista to przecież nie bardzo wielka nowina!

Muzyka ucichła. W kościółku rozległo się ciężkie stąpanie, a po chwili przez boczne drzwi wyszedł ksiądz i dwóch ludzi. Baby już odeszły; zakrystyan skrzypnąwszy parę razy kluczem we drzwiach, popróbował pięścią, czy dobrze zamknięte i powlókł się w stronę plebanii. Ksiądz przeprowadził go wzrokiem, wąchał tabakę, przechylał głowę z ramienia na ramię, potem szukał czegoś w bocznej kieszeni, a przez cały ten czas patrzył przed siebie, trochę zakłopotany: należało zrobić wybór między dwoma kandydatami, wahał się! Tymczasem organiści stali jak na nożach, gnietli czapki w rękach, przestępowali z nogi na nogę i z największem natężeniem wpatrywali się w księdza. Obaj wyglądali na ludzi wcale niezamożnych. Młodszy dwudziestoletni chłopak, chudy blondyn, z nisko ostrzyżonymi włosami, drżał jak lękliwy pies, gdy na kij patrzy; na próżno usiłował być spokojnym, tłumił oddech, gryzł usta, nad drżeniem zapanować nie mógł! Ze strachu i niepokoju uszy mu poczerwieniały, pot wystąpił na czoło; mrugał oczami, przełykał ślinę, jak dzieciak, kiedy się do płaczu zabiera. Drugi, o wiele starszy, wysoki szpakowaty brunet, zapięty szczelnie w czarnym, bardzo wytartym surducie, wyglądał spokojniej; nie drżał i nie mrugał oczami, tylko od czasu do czasu zaciskał palce aż w stawach trzeszczały i z tak ponurą natarczywością patrzył w twarz księdza, że ten mimowoli odwracał wzrok w przeciwną stronę, a pomimo to wciąż widział przed sobą ogorzałą twarz, pokrytą czarnym, dawno niestrzyżonym zarostem, długą, chudą szyję i oczy dziwne, z wielkiemi białkami jak u cygana, słowem, paskudną fizyognomię zgłodniałego zbója, albo wisielca, której bodaj nie oglądać przed nocą! Obaj mieli długie buty zbielałe od kurzu; starszy opierał się na kiju, czasami postukiwał nim po trawie.

Nareszcie ksiądz schował chustkę i odchrząknął.

— Hm... tego... gracie dobrze, i ty p. Piotrze i ty chłopcze, za dobrze nawet, jak na nasz chłopski kościołek! Ale widzicie... dwóch nie potrzebuję... któryś ustąpić musi, przybyliście jednocześnie. Obaj potrzebujecie miejsca... nie wiem tedy... jak zrobić!

Organiści wstrzymali oddech; starszy przymknął oczy, stał jak delikwent wyczekujący wyroku; wiedział, że chłopak gra daleko lepiej, a ksiądz od razu łaskawszem okiem spoglądał na niego.

— Kwapić się tu niema na co — mówił dalej — każdy z was wart lepszego miejsca; płaca skromna, sześćdziesiąt rubli rocznie, dwie beczki żyta, kawał pola pod kartofle, i parę zagonów pod warzywo; przed chatą jest kilka jabłonek i dwa ule; ot i wszystko! Z biedy żyć można. Żonaci jesteście?

— Ja, nie — zawołał młodszy z pośpiechem — sam jeden — dodał, wiedząc, że ten warunek nigdy na służbie nie zawadza!

Piotr mruknął coś niewyraźnie. Lękał się przyznać, że ma żonę i czworo dzieci! Źle zrobił! Gdyż ksiądz, nie słysząc odpowiedzi domyślił się gorszych rzeczy niż były w istocie. Nie powtórzył pytania, ale pewnym był, że ma żonę i dzieci sześcioro przynajmniej, a wszystkie swawolne jak dzikie koty, czepiać się będą po dachach, po parkanach, wpadać do sadu, nawet pszczołom i ptactwu nie dadzą spokoju!

greckiego na półwyspie bałkańskim panowania pozostawiała w zawieszeniu, czyli, wyrażając się językiem dyplomatycznym, pozostawiała ją „otwartą.“

Z niechęcią wielką spoglądają grecy na tworzenie się i utwierdzanie państewek słowiańskich i obawiać się należy, że, gdyby państewka te na własną rękę kiedy występować politycznie mogły, Grecya by usiłowała ciskać pomiędzy nie koście niezgody. Na to się zanosi. Pretensye do Epiru, do Tesalii, do Konstantynopola są zapowiedzią zajść przyszłych, drzemiących w chmurach piorunami brzemiennych. Najracyonalniejszym wydaje się program, jakiśmy słyszeli wygłoszony przez jednego z mówców na obchodzie. Wytyka on dążność do ustroju federacyjnego, z tem atoli zastrzeżeniem, że ma to być federacya grecka. Wygląda to na ustrój państwa austryackiego. Wątpić należy, ażeby się słowianie na coś podobnego zgodzili, tem bardziej, że w każdem z istniejących w chwili obecnej na półwyspie Bałkańskim państewek myśl hegemonii jest przewodnią ideą działalności politycznej. Serbia wychodzi z punktu cara Daszana. Bulgarya ani myśli odstąpić od programu, wskazanego jej przez Simeona Wielkiego. Czarnogóra? — ta dlatego właśnie, że najmniejsza i najsłabsza, ma cele najrozleglejsze. Na gruncie tym zaczynów niezgody przyszłej pełno. W stosunku do zaczynów tych Grecya zajmuje stanowisko skrzydłowe, z którego w razie danym przymierzyć się może z tym przeciwko owemu, lub z owym przeciwko temu. Stanowisko to wygodne i, lubo przy okolicznościach dzisiejszych (obecność na półwyspie Bałkańskim Austryi) niewiele na co przydatne, ale... wygodne. O przyszłości, o tem co stać się może, nie mówimy: zaznaczamy jeno, z jednej strony, stanowisko, jakie zajmuje Grecya, z drugiej zaś, jak się podgotowują pobratymcy nasi, słowianie południowi. O tem wiedzieć — nie szkodzi.

T. T. Jeż.

Z GALICYI.

Lwów, 1 czerwca.

Bunt w zachowawczym obozie.—Projekt polityczny p. Bronisława Łozińskiego. — Radykalizm konserwatysty.—Rozmaite godności. — „Schweigeld.“ — Kto go wziął.— *Qui tacet, consentire videtur.*

Nie pomnę, żeby mi kto tak kiedy zaimponował, jak p. Bronisław Łoziński... Tak się teraz ludzie kryją z tem, co myślą, zwłaszcza, jeżeli myślą inaczej, niż panowie od wielkiego bębna, że, doprawdy, kapelusz zdjąć należy przed śmiałkiem, który się odważa wypowiedzieć swoje własne zdanie. Tak też i zrobiłem, odkryłem głowę przed p. Łozińskiej, chociaż się z nim nie zgadzam, ale zaraz nakryłem ją, nasadzając jeszcze lepiej kapelusz na ucho. Faktem jest, że artykuł dawnego współredaktora *Gazety lwowskiej* był tylko wyrazem opinii większości Koła polskiego, opinii chwilowej, która już przeminęła a objawiała się tu i owdzie podczas świąt wielkanocnych, kiedy delegacya nasza w Wiedniu rozjechała się do domów w największem rozdrażnieniu. Wtedy to rzecz p. sekretarza Wydziału krajowego została napisaną, że zaś *Biblioteka warszawska* umieściła ją dopiero teraz, za spóźnienie to p. Łoziński musi być jej serdecznie wdzięczny:..

Była rzeczywiście chwila, w której Koło polskie myślało naprawdę o zerwaniu sojuszu z prawicą i nawiązaniu stosunków z p. Herbstem. Powodów, wątpię, aby należało szukać gdzieindziej, jak w nieustannem ujadaniu prasy krajowej i w coraz bardziej zbliżającej się chwili nowych wyborów do Rady państwa, przy których nietylko przepaść będzie można z kretesem, ale złożyć wypadnie także rachunek z sześcioletniej obrony interesów, życzeń i żądań kraju. A tu—jak zwykle—przyjeżdżają posłowie nietylko z próżnemi rękami, ale nadto z zapowiedzią nowych niepowodzeń, nowych klęsk, nowych zawodów. *Est modus!...* — krzyknęła wreszcie reprezentacya nasza — ale tak głośno, że aż się sama swej śmiałości ulękła. Cofnęła się też i pozostała *beim Alten*, t. j. przy hr. Taaffem, która korzystając z rozbitej zmowy, obniżył nieumiejącej nawet strejkować służbie swojej wysokość wynagrodzenia i ani myśli o jakichkolwiek ustępstwach.

Powiedziałem wyżej, że nie podzielam zdania p. Łozińskiego. Pragnie on, czy też pragnął, aby polacy zerwali łączność z prawicą, a więc z czechami, słoweńcami i konserwatystami niemieckimi, doradza natomiast zawarcie związku z lewicą. Widać z tego, że p. Ł. należy do tych polityków, którzy na wielkiej szachownicy interesów państwowych i narodowych zwykli robić za jednym zachodem dwa odrazu posunięcia. Nazywają ich radykałami—czyżby nim miał być także i p. Łoziński? Nie posądzam go nawet o to, tem więcej się dziwię, że konserwatysta czystej wody ima się środków radykalnych i prześciga krakowską *Reformę*, która proponując jedynie politykę wolnej ręki, wywołała oburzenie w całym prawowiernym obozie. Polityka wolnej ręki byłaby, mojem zdaniem, i korzystniejszą i uczciwszą, odpowiedniejszą zarówno dla interesów kraju, jak i dla narodowego sentymentalizmu, jeżeli mianem tem godzi się nazwać zdrowe uczucie wzajemności słowiańskiej. Bez zaprzedawania się któremukolwiek z *niemieckich* obozów możemy pozostać wiernymi pobratymcom słowiańskim ze złotej Pragi i białej Lublany, bez zaprzedawania się *niemcom*, powtarzam i podkreślam ten wyraz, bo nieprawdą jest, jakobyśmy wysługiwali się czechom i słowjeńcom. Służymy i służyliśmy zawsze niemcom tylko, dawniej fałszywym liberałom—dzisiaj ultramontanom i wstecznikom. Chodzić więc może przedewszystkiem o to, aby zerwać z konserwatystami niemieckimi, którzy za poparcie każą sobie drogo płacić. Przy nawiązywaniu zaś pertraktacyj z obozem liberalnym nie ma najmniejszego powodu odpychać dotychczasowych sojuszników słowiańskich, dla których w nowym aliansie znalazłoby się przecież mogło miejsce.

Niektórzy przypuszczają, że artykuł p. Łozińskiego miał być tylko *ballon d'essai* większości Koła dla wymiarkowania opinii kraju. Jakkolwiekbądź rzeczy się mają, obudził on zajęcie w naszej prasie i wywołał poboczną polemikę pomiędzy autorem jego a p. Frylingiem o jakiś telegram do *Wiener Allgemeine Zeitung.* Nie obeszło się bez ciętych razów. Tak np. p. F. pyta w *Kuryerze lwowskim*: „w jaki sposób da się pogodzić stanowisko sekretarza Wydziału krajowego, byłego współredaktora urzędowej *Gazety lwowskiej*, korespondenta urzędowego telegraficznego biura korespondencyjnego, półurzędowej *Politische Correspondenz*, niezawisłej liberalno - postępowej *Wiener Allg. Zeitung*, inspirowanego konserwatywno - klerykalnego *Czasu*, inspirowanej i przez rząd subwencyonowanej konserwatywnej (starej) *Pressy*, wreszcie *Biblioteki warszawskiej*.“ A wszystkie te godności piastuje równocześnie p. Bronisław Łoziński, brat Władysława, b. redaktora *Gazety lwowskiej*, obecnie posła na sejm i do Rady państwa.

Z większą jeszcze siłą obije się teraz o fale naszych wód dziennikarskich sprawa b. posła do Rady państwa Kamińskiego i rozdawnictwo t. z. „Schweiggeldu.“ Los pierwszego dawno już został rozstrzygnięty. Pan K. kryminalistą nie jest, w każdym przecież razie zbrukał swoje obywatelskie sumienie w pogoni za zyskiem. O ileż jednak stoi on wyżej od tych, co go zgnietli

---

Czyż on nie zna tych szubrawców! To filistyni, z którymi Samon nawet nie dałby rady. W plebanii jest tylko jeden syn zakrystyana, a i z tym wyżyć trudno. Owoce zjada w zawiązkach, ciska kamieniami w ule, z psem i kotem wieczną prowadzi wojnę, a służąc do mszy, pluje przez zęby prosto księdzu na buty, niechcący niby! Sześcioro dzieci—pewnym był tej liczby—to gorzej niż szarańcza! Szala wyboru przechyliła się znacznie na stronę młodego samotnika.

— Pogadajcie tam z sobą...

— Ej, nie! — przerwali jednocześnie — lepiej niech z łaski swojej ksiądz proboszcz sam wybierze. Ja znam się trochę na ogrodnictwie — dodał młodszy, nie wiedząc, że trafia w najsłabszą stronę księdza.

— To dobrze, to doskonale! Właśnie o takim myślałem! A ty p. Piotrze nic więcej nie umiesz prócz muzyki?

Potrząsł głową przecząco.

— Umiem strzydz... zająknął się, gdyż spostrzegł, że głowa księdza była zupełnie łysa i tylko skromny pas siwych włosów łączył z tyłu jedno ucho z drugiem.

— Szkoda wielka szkoda! Ale cóż robić... W każdym razie wybór między wami trudny. Nie chciałbym skrzywdzić żadnego, a obu zatrzymać nie mogę. Ot, wiecie co— zawołał rozjaśniony nową myślą—przyjdźcie jutro, zaśpiewacie mszę św. jeden do ofiarowania, drugi do końca. Spróbuję waszych głosów, a wówczas pogadamy ostatecznie. Tymczasem bywajcie zdrowi! W miasteczku stoicie? No, tak z Bogiem.

Skinął głową na pożegnanie, i odszedł uszczęśliwiony, że ciężkie słowo choć do jutra odłożył.

Organiści stali przez chwilę, nie śmiejąc spojrzeć na siebie. Woleliby może dziś już usłyszeć ostateczny wyrok. Młodszy szczególnie, pewnym był, że wybór padnie na niego. Przestał drżeć, a jednocześnie poczuł, że bardzo jest głodny, i że czas już wracać do miasteczka.

— Pójdziemy — szepnął, nie frasujcie się zawczasu — ja śpiewam cicho, bardzo cicho, pewno mój głos mu się nie podoba.

— Eh, co tam gadać — zawołał Piotr— wiadomo, że ja pójdę z kwitkiem. Taka już moja dola! Żebym chciał utopić się, to w morzu nawet zabrakłoby wody. Cztery podło miesiące łażę za miejscem i wszędzie rwie się... Choć żywcem do ziemi leż.

Ochrypł i wykrzywił usta boleśnie.

Szli wąską ścieżką wzdłuż parkanu. W ogrodzie, pomiędzy kilku karłowatemi jabłonkami widać było pustą chatę; drzwi i okna otwarte i nigdzie ani żywego ducha; dwa ule, i kilka zagonów warzywa świadczyły, że była to właśnie siedziba przeznaczona dla organisty. Spoglądali na nią przechodząc. Młodszemu oczy zajaśniały radością! Krzaki dzikiego agrestu, wysokie pokrzywy, łopuchy rozkrzewione otulały ściany lepianki, wyglądającej jak w bukiecie, nie wykwintnym wprawdzie, ale dość świeżym. Na okienku leżało kilka glinianych fajek, zczerniałych we środku od długiego używania, a do jednego z kołków w płocie przywiązany był sznur, którego koniec ginął gdzieś w trawie; sznur ten mimowoli przypominał krowę, lub kozę przynajmniej, pasącą się wśród drzew i krzaków. Ślady dobrobytu były widoczne. Piotr spostrzegł to również, jak i młody towarzysz; dojrzał może coś więcej, spochmurniał strasznie, zacisnął pięści i odwrócił głowę; widok nędznej lepianki, na wpół zdziczałej natury przedstawił mu się jako raj utracony na zawsze.

Czemuż nie przybył choć o godzinę wcześniej. Wyszedł z miasta o świcie, i gdyby całych sześć mil szedł bez odpoczynku, przybyłby jak raz w porę. Na biedę swoją zasnął w lesie; czuł się bardzo zmęczony, słońce paliło jak ogniem, usiadł więc od-

i wyrzucili z Koła polskiego a zamiast niego wzięli napiwek od Schwarca, o ile wyżej od tych wydawców czy redaktorów, którzy za pieniądze, dla niego przeznaczone, miażdżyli go w organach swoich! Jest już bowiem rzeczą całkiem pewną — stwierdziła to komisya parlamentarna dla sprawy Kamińskiego — że dzienniki galicyjskie dostały z funduszu gadzinowego kolei transwersalnej około 20,000 złr. Za co — opowiedziałem w swoim czasie szczegółowo. Aby się nie powtarzać, wspomnę tylko tyle, że chodziło o to, czy kraj, czy bar. Schwarz ma zarobić kilka milionów na budowie nowej drogi żelaznej. Jak wiadomo, nakład 20,000 guldenów zwrócił się, albowiem bar. Schwarz otrzymał koncesyę. Zachodzi teraz pytanie, które pisma sprzedały za łapówkę interes kraju. Z pomiędzy istniejących obecnie *Kuryer lwowski* i *Reforma* nie wychodziły jeszcze w czasie, kiedy „Schweiggeld" rozdawano, nie mogła go zaś wziąść *Gazeta lwowska*, jako organ urzędowy. Pada więc podejrzenie na *Czas*, *Gazetę krakowską*, *Dziennik polski* i *Gazetę narodową*, z pomiędzy których tylko ta ostatnia oburzyła się na samą myśl, że ją ktoś stawić może w rzędzie przekupniów narodowych i domaga się z całą stanowczością wymienienia nazwisk tajnych rozbójników interesu publicznego. Reszta milczy uparcie, ani przyznając, ani broniąc się od zarzutu, którego ugruntować jeszcze nie można, chociaż czynią się starania w tym kierunku. Jaki ostatecznie weźmie obrót ta brudna sprawa, czy usiłowania prywatne celem wykrycia łapowników doprowadzą do pożądanego rezultatu wobec tego, że rząd i sąd niechce wydać ich nazwisk, nie umiem dziś powiedzeć; mniemam przecież, że redaktorzy i współpracownicy nie zawahają się zerwać solidarności z judaszami narodowymi, społeczeństwo zaś nagrodzi ich zasłużoną pogardą. Niechże tylko pęka ten wrzód co rychlej!

Rewera.

ZJAZD PRZYRODNIKÓW I LEKARZY
(w Poznaniu).

Czwarty z kolei zjazd przyrodników i lekarzy polskich odbył się w pierwszych dniach czerwca w Poznaniu. Uczestniczyło w nim około 250 osób przeważnie z Prus i Galicyi; z Warszawy niewiele; przyjechało natomiast ośmiu czechów. W poniedziałek d. 2 czerwca po odbytem nabożeństwie (w Poznaniu nawet przyrodnicy muszą modlić się) otwarto posiedzenie mową przewodniczącego w wydziale gospodarczym d-ra Wicherkiewicza, który ze szczególnem odznaczeniem powitał pobratymców z nad Wełtawy, i wykazał naukowe i społeczne znaczenie zjazdów. P. Krzyżanowski przemówił krótko do zebranych w imieniu miasta, poczem przystąpiono do wyborów: prezesa, zastępców i bióra. Na przewodniczącego powołany został jednogłośnie dr. Szokalski, na wiceprzesów profesorowie: Majer i Rydel z Krakowa, dr. Żuliński i dr. Dybowski ze Lwowa, dr. Małecki i hr. August Cieszkowski z Poznania i czesi Janowski i Maixner.

Po załatwieniu czynności przedwstępnych dr. Szokalski odczytał swoją pracę: „O badaniu i obserwacyi przyrodniczej porównawczej u nas i w innych krajach." Obserwacya, według niego, jest aktem psychicznym, wywołanym przez zwrócenie uwagi na przedmiot badany, zastanowieniem się nad jego szczegółami, zebraniem ich w jedno ogólne wyobrażenie i porównaniem z wyobrażeniami pokrewnemi. Wynika z tego, że u każdego człowieka przybiera ona pewne znamię indywidualności, a zbiorowo w każdym narodzie posiada odpowiednie charakterowi jego cechy. Określiwszy obserwacyę niemiecką pracowitą i sumienną, ale zbyt jednostronną i ulegającą często z góry powziętym teoryom; angielską — trzeźwą, zimną i wyzyskującą konsekwentnie ostatnie wyniki; francuską — obejmującą szerokie widnokręgi, bystrą, ale nieraz płytką i powierzchowną, autor oddaje pierwszeństwo niebłyskotliwej, ale trafnej obserwacyi włochów i dopatruje w niej najwięcej cech podobieństwa z badaniem polskiem. Lud nasz posiada olbrzymi zasób spostrzeżeń przyrodniczych, ale ze smutkiem wyznać trzeba, że nie zjawili się dotąd u nas samodzielni w tej sferze wiedzy badacze. Wiek zygmuntowski nic a nic w tej mierze nie zrobił i aż do końca 18 wieku żyliśmy światłem pożyczanem. Ale i wtedy chociaż zjawiło się sporo uczonych, badaczy samodzielnych prawie nie było. Od założenia Szkoły głównej i Akademii Nauk w Krakowie zaczyna się nowa epoka; dziś wszakże dopiero medycyna nasza zdobyła się na pewną oryginalność, to też wielu lekarzy polskich posiada uznanie świata naukowego. Przyrodnicy pomimo niesłychanych przeszkód zaczynają również dążyć w tym kierunku i badanie ich zwraca się coraz częściej do rzeczy swojskich. „Odkąd nie liczymy na obce sympatye, nie rachujemy na obce rozumy." Ten nieco szowinistyczny frazes wywołał grzmiące oklaski. Zadaniem zjazdów jest wyrabiać samodzielność badania przyrodniczego, bynajmniej jednak nie należy lekceważyć usiłowań innych. Połączyć również winniśmy wiedzę przyrodniczą z owym skarbem obserwacyjnym, jaki lud posiada, bo ma on dla nauki tę wartość, jak pieśni i podania dla literatury. Najważniejszem jednak dążeniem jest rozwój zmysłu obserwacyjnego w uczącej się młodzieży.

Dr. Krówczyński odczytał rozprawę: „O wpływie odziedziczania na życie indywidualne i narodowe." Dziedziczność działa w dwu kierunkach: konserwatywnym, gdy chodzi o zachowanie istniejącego gatunku, i postępowym, gdy pojedyncze własności a zatem i cały gatunek zmienia. W życiu narodowem cnoty duchowne górować winny nad przymiotami fizycznymi, należy więc nam starać się o zachowywanie i przekazywanie drogą spadku wyrobionych dodatnich cech charakteru i o przeciwdziałanie ujemnym instynktom.

P. Syroczyński inżenier ze Lwowa miał odczyt „o geologicznem badaniu głębszych warstw ziemi." Twierdzi on, że Galicya posiada olbrzymie bogactwa mineralne, niezbadane dotąd. Zwłaszcza zasoby nafty są nader obfite i umiejętne ich wyzyskanie podnieść mogłoby dobrobyt kraju.

Przemawiali jeszcze krótko czesi Janowski i Maixner, wyrażając sympatyę swoją dla polaków i prosząc, żeby ci ostatni więcej zwracali uwagi na pracę umysłową bratnich czechów.

Następnego dnia odbyły się posiedzenia sekcyj, których zjazd liczy dziesięć: 1) chirurgiczna, 2) medycyny wewnętrznej, 3) akuszeryi i ginekologii, 4) oftalmologiczna, 5) psychiatryi, hygieny i medycyny sądowej (dziwne trochę połączenie), 6) antropologii i archeologii, 7) geologii, mineralogii, botaniki i zoologii, 8) matematyczno-fizyczna, 9) chemiczno-farmaceutyczna, 10) przyrodniczo-rolnicza.

Podczas posiedzeń zjazdu odczytano wiele telegramów i wniosków, między innymi dr. Jaworski projektował założenie pisma poświęconego pracom doświadczalnym.

Z prac, odczytanych na posiedzeniach sekcyj, zasługują na wzmiankę referaty z dziedziny hygieny: d-ra Żulińskiego „O przeciążaniu naukowem w szkołach" i d-ra Chałupczyńskiego „O potrzebie interwencyi w celu ukrócenia pijaństwa." Niektóre wnioski referenta są dosyć prak-

---

począć tylko; ale w lesie zawsze coś szepcze, jakby do snu namawia, zasłuchał się i zdrzemnął! Spał długo, dłużej niżby sam chciał; gdy się obudził, słońce było już za lasem; orzeźwiony szedł dalej raźno, bez odpoczynku, a jednak spóźnił się! Gdy myślał o tem, żal coraz dotkliwiej ściskał go za gardło. Nad rzeką spotkał tego chłopaka; nie domyślał się, że to współzawodnik; czekał na niego z promem, sam przewiózł na drugą stronę, a przytem litował się nad nim, jak nad własnem dzieckiem! Chłopak wyglądał półmartwy ze zmęczenia, a gdy, usiadłszy na promie, zdjął buty, nogi miał nabrzmiałe, pokaleczone, odzierał skrwawione szmaty, krzywił się boleśnie, a jednak, gdy dowiedział się, że Piotr idzie z zamiarem dostania miejsca organisty, odżył, zapomniał o spuchniętych nogach; od rzeki do plebanii szedł spiesznie, jakby teraz dopiero udał się w drogę. Po co czekał na niego? Czemu nie przeprawił się sam, nie zważając, że jakiś biedak wlecze się ledwo żywy i zdaleka woła o prom słabym, błagającym głosem! Ech, wolałby ogłuchnąć na tę chwilę. Wychodząc z miasta, pewnym był tego miejsca: miał dobre świadectwa i postanowił zgodzić się na wszelkie warunki.

— Chleba kawałek będzie w każdym razie — mówił do żony, wybierając się w drogę z pośpiechem.

Ożywiony dobrą nadzieją, za ostatniego szóstaka kupił dzieciom świeżego mleka.

— Niech balują! Kto wie! może wkrótce będą mieli często takie przysmaki!

Żegnając się z żoną, miał łzy w oczach, ale łzy dobre serdeczne, od których w oczach jaśniej i lżej na sercu.

— Choć raz Bóg zlitował się nad nami! — powtarzali oboje, oh, choć raz!

Pewni byli, że bieda skończyła się, a przynajmniej ta najstraszniejsza... w nieopłaconym kącie na bruku, bez zarobku i bez nadziei... Wychodząc, słyszał, jak mówiła do dzieci:

— Proście Boga, żeby tato zdrów wrócił, a znowu będzie chleb i ciepła chata!

Miał taką poczciwą kobietę. Zmarniała w biedzie i pracy, ledwie nogi włóczy, ale nie skarży się, nie narzeka nigdy, jeszcze jemu otuchy dodaje: — Cóż robić — mówi nieraz — czy to my jedni w nędzy może itd. Słowa jej jak ogniem palą w samo serce: bo i cóż z tego, że on żyje, kiedy żonie jego i dzieciom gorzej niż najbiedniejszym sierotom! Myśli te go ogłupiały: całemi godzinami stoi czasem za węgłem albo koło parkanu; patrzy w prawo, w lewo, ot tak sobie, byle patrzeć! Wiedział, że z żadnej strony niczego spodziewać się nie mógł, że na tym długim i szerokim świecie nigdzie a nigdzie kąta znaleść nie może. Ludzie przechodzili, szturchali, oglądali się. On jakby nie widział ani ludzi, ani świata; tylko wciąż dzwoniło mu w uszach, że on człek zbyteczny, niepotrzebny, że teraz organistów za dużo na świecie. Wracał do domu i siadał w kącie nieruchomy; wyglądał wówczas tak jakoś dziwnie, że dzieci, na widok jego, milkły i jak spłoszone ptaki tuliły się po kątach. Czasami znowu ogarniała go straszna siła i odwaga. Starał się, biegał, wywiadywał, chodził z prośbami do znajomych i nieznajomych; klął, żżymał się... usiłował gwałtem głową mur przebić. Żona spoglądając z trwogą, pytała:

— Czy nie wypił ty czego... broń Boże?

On sam nie poznawał siebie; w takim dniu powtarzał w duchu, że jemu sądzono powiesić się. (D. n.).

Ostoja.

tyczne, ale znajdują się między nimi i dziwolągi, jak np., żeby stan opilstwa wyłączony został w sprawach kryminalnych z rzędu okoliczności łagodzących.

4 czerwca nastąpiło zamknięcie zjazdu. Przewodniczył tym razem obradom Majer. Dr. Szokalski odczytał pracę swoją: „O Jędrzeju Śniadeckim i wpływie jego *Teoryi jestestw organicznych* na ogólny rozwój biologii społecznej,“ dr. Rakowski zaś „O tajemnicy życia.“ Na miejsce przyszłego zjazdu obrano Warszawę a w razie niemożności Lwów. Wysłano również telegram dziękczynny do Pragi. Po krótkiej pracy nastąpiła cała serya rozrywek, uroczyste przedstawienie w teatrze, wycieczki do Gniezna, Kruszwicy, Inowrocławia z obowiązkowem słuchaniem nabożeństw i mów, ze spożywaniem obiadów i krasomówczymi toastami. Ale to już do nas nie należy.

O SAMOBÓJSTWIE ZWIERZĄT.

W poprzedzającym artykule, poświęconym przeglądowi dzieła Romanesa: *Animal Intelligence*, potrąciłem mimochodem o kwestyę. która wydaje mi się dość ważną, ażeby ją można zbyć kilku luźnymi ogólnikami. To też wracam do niej raz jeszcze, ażeby się zastanowić gruntowniej i zbadać, o ile prawdopodobnem jest przypuszczenie, że zwierzęta, tak samo jak i ludzie, w danych warunkach mogą targnąć się na własne życie?

Przypuszczenie to, jeżeli nawet opiera się na faktach, mających pewne pozory samobójstwa, to w każdym razie główne jego źródło nie w nich leży. Jest ono bezpośrednim wnioskiem założenia w gruncie prawdziwego, ale którego zakres rozszerzono po za właściwe granice. Nie ulega dziś już zaprzeczeniu, że umysł zwierzęcy w swej istocie jest tym samym, co i umysł ludzki. Zwierzę również pojmuje, sądzi i wnioskuje, czuje radość i smutek, kocha i nienawidzi, ma swe chęci i pragnienia a w działaniu kieruje się pobudkami wewnętrznemi. Z tem wszystkiem nie upoważnia to nas jeszcze do tego, byśmy mogli z góry przyznawać zwierzętom wszystkie myśli, uczucia i pragnienia. jakie znajdujemy we własnem sercu, lub jakich dopatrywać możemy w objawach życia ludzkiego wogóle. Pomimo bowiem tożsamości natury wielka zachodzi różnica między umysłem zwierzęcym, a ludzkim — różnica, polegająca na nierównym stopniu rozwoju i wydoskonalenia.

Nie da się ona wprawdzie oznaczyć z taką ścisłością, z jaką określają się cechy fizyczne; nie mniej przecież występuje ona dość wyraźnie we wszystkich czynnościach duchowych, które u zwierząt są znacznie prostsze i nie tak zawikłane, jak u ludzi. Dla tej w ogólnych zarysach można ją sobie przedstawić.

Przedewszystkiem pamiętać potrzeba, że umysł zarówno zwierzęcy, jak i ludzki, nie jest czem innem, tylko pewnym sposobem oddziaływania ustroju na czynniki zewnętrzne. Zależy on więc wprost i bezpośrednio z jednej strony od budowy organizmu, z drugiej od otoczenia. Jak wszystkie wogóle ustroje zwierzęce, tak i właściwe im objawy umysłowe są wytworem powolnego rozwoju, wynikiem już to przystosowania się do warunków zewnętrznych, już to wyboru naturalnego, ochraniającego osobniki i gatunki najlepiej uposażone do walki o byt. Pod względem więc umysłowym tyleż napotykamy różnic w świecie zwierzęcym, ile ich w nim jest pod względem ustroju i warunków życia. Właściwości jednego gatunku mogą być wręcz przeciwne naturze i usposobieniu innego. Przyznawać np. kotowi zdolność do takich czynności, jakie wykonywa pies, jest to zapominać, że oba te rodzaje wytworzyły się pod wpływem odwiecznych warunków, że różnią się one nietylko kształtem zewnętrznym, ale anatomiczną budową ciała, instynktami, zwyczajami, które stanowią tło ich umysłowego życia. Otóż taką samą niekonsekwencyą grzeszymy, przyznając *a priori* zwierzętom czynności, które wykonywa człowiek. Chcąc przeto rozstrzygnąć pytanie, czy ta lub owa czynność, napotykana wśród ludzi, może być przyznana także i zwierzętom, potrzeba wprzód rozważyć, czy ona odpowiada stopniowi ich rozwoju umysłowego, czy zgadza się z warunkami ich życia.

Człowiek całą swą wyższość umysłową zawdzięcza głównie warunkom życia społecznego, które jest jego stanem naturalnym. Połączony wszystkimi węzłami materyalnymi i moralnymi z organizmem społecznym, ma od niego wszystko, czego potrzeba do wykształcenia umysłu, do rozwinięcia dzielności. Obdarza on go najpotężniejszym środkiem doskonalenia się — mową członkowaną, która otwiera mu przystęp do nieprzebranych skarbów doświadczenia przeszłych pokoleń, która jest dla niego giętkiem i podatnem narzędziem do wyrażenia najbardziej oderwanych pojęć, do uzewnętrznienia najzawilszych operacyj umysłowych, najgłębszych poruszeń serca.

Wprawdzie związki społeczne nie są obce i zwierzętom, które również posiadają pewne sposoby porozumiewania się za pomocą głosu; ale związki te są bardzo proste i nierozwinięte, obrachowane głównie, że tak powiem, na najnaglejsze potrzeby życia, którego naczelnem zadaniem jest zachowanie bytu osobnika i gatunku. Co do mowy. ta, składając się z pewnych głosów nieruchomych, wykrzykników, które różniczkują się tylko za pomocą modulacyi, wystarcza zaledwie na wyrażenie wrażeń i uczuć i bynajmniej nie przyczynia się do rozwoju umysłowego zwierząt.

Tej to właśnie mowie, że człowiek zdolny wyrazić pojęcia, które bez niej wytworzyćby się nie dały, przypisać potrzeba zasadniczą różnicę między umysłem ludzkim a zwierzęcym, że gdy tamten polega przeważnie na rozumie, w tym ostatnim panuje niemal wyłącznie instynkt. Powiadam: niemal wyłącznie; niepodobna bowiem zaprzeczyć, że obok instynktu, będącego odziedziczeniem przodków, odgrywa również pewną rolę i doświadczenie osobnicze, które jest podstawą rozumu.

A teraz przejdźmy do samego przedmiotu. Jest nim samobójstwo zwierząt. Chodzi mi o to: czy na podstawie tego, co wiemy o umyśle zwierząt lub przypuszczamy z wypadków, jakich nam dostarcza ich życie, można przyznać im zdolność zadania sobie śmierci z zamiarem.

Przedewszystkiem wypadałoby nam odwołać się do faktów, które jedne tylko mogą nam dostarczyć w tym przedmiocie bezpośrednich dowodów. Otóż, ściśle rzeczy biorąc, faktów takich nie posiadamy zgoła. Mają wprawdzie pod tym względem jakąś wagę doświadczenia, robione w ostatnich czasach nad skorpionami dla sprawdzenia, o ile powszechne mniemanie, przypisujące im samobójstwo, jest słusznem. Doświadczeń wszakże już przez to samo nie należy uważać za wystarczające, że nie zupełnie zgadzają się z sobą. Opisuje je szczegółowo Romanes w swem dziele: *Animal Intelligence*. Powtarzać za nim wszystkich szczegółów nie będę, przytoczę tylko te, które się tyczą samej rzeczy.

Za pomocą soczewki naprowadzano promienie słońca na skorpiona, umieszczonego bądź w słoju, bądź pod szkiełkiem od zegarka. W pierwszem doświadczeniu skorpion, rzucając się na wszystkie strony i miotając, uderzył się nagle w bok ogonem i wyciągnął się natychmiast, zabity własnym jadem. W drugiem — po chwilowem szamotaniu uspokoił się i pozostawał przez czas pewien bez ruchu, a dopiero później podniósł ogon i, zgiąwszy go ku głowie, zatopił w nią swe żądło.

Każdy się zgodzi, że pierwszy przypadek niczego nie dowodzi. Można w nim tak dobrze widzieć samobójstwo skorpiona, jak i następstwo prostej nieostrożności. W gorączkowem rzucaniu się i miotaniu mogło zwierzę mimowoli uderzyć się w bok, bynajmniej nie mając zamiaru zadania sobie śmierci. Zdarza się to często i między ludźmi. Nie można już tego samego powiedzieć o drugiem doświadczeniu. W niem mamy wszystkie pozory samobójstwa. Wzniesienie ogona po chwilowem uspokojeniu się, zginanie go powolne ku głowie i zanurzenie w niej żądła — ma wszystkie cechy działania zamiarowego. Jest że to rzeczywiście samobójstwo?

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, musimy wprzód zastanowić się nad tem, czy samobójstwo zwierząt — przyjmując je tymczasowo za fakt dowiedziony — mamy uważać za objaw instynktu, który stanowi główne tło czynności zwierzęcych, czy za objaw rozumu, dobierającego świadomie środków do osiągnienia celu?

Przyjętym jest dziś w nauce pogląd, który w instynkcie nie widzi nic innego. jak uorganizowane doświadczenie przodków, przechodzące drogą dziedziczności na najdalsze ich pokolenia. Rzecz jawna, że nie każde doświadczenie rodziców może być odziedziczonem przez ich potomstwo. Odziedziczają się te tylko, które przez częste powtórzenia oddziaływając na wewnętrzną budowę ustroju, wytwarzają w niej pewną stałą zmianę. Ponieważ takie tylko doświadczenie stale może się powtarzać w życiu osobników i jego potomstwa, które wynika koniecznie z przystosowania się organizmu do warunków zewnętrznych, zapewniających korzyść w walce o byt — skąd charakterystyczną cechą instynktu jest to, że służy on do zachowania bytu osobnika i jego potomstwa. Stanowi on zatem czynność nie osobniczą; ale gatunkową — t. j. taką, która w tych samych warunkach wykonywa się w ten sam sposób przez wszystkie osobniki do tego samego gatunku należące.

Każdy pojmie, że samobójstwo nie może należeć do tego rodzaju doświadczeń, które stają się ustrojowemi i przechodzą dziedzicznie z rodziców na dzieci. O niem więc, jako o objawie instynktu w powyższem rozumieniu, mówić trudno.

Powie tu kto może, że powyższe zapatrywanie na instynkt nie jest jeszcze powszechnie przyjętem, że obok niego panuje jeszcze inne, mające nad tamtem tą przewagę, że jest dawniejsze — to mianowicie, które widzi w instynkcie pewną władzę niższego gatunku, jaką stwórca wyposażył wszystkie twory żyjące w celu, by je ostrzegała o grożącem niebezpieczeństwie, by nimi kierowała we wszystkich czynnościach, koniecznych do zachowania bytu?

Pomijając kwestyę, który z tych dwóch poglądów jest prawdopodobniejszym i bardziej odpowiadającym obecnemu stanowisku wiedzy, zwracam uwagę, że oba one. różniąc się w pojmowaniu początku i pochodzenia instynktu, zgadzają się z sobą pod tym względem, że za jedyne jego zadanie uważają zachowanie bytu osobnika i gatunku. Samobójstwo więc, które jest wręcz przeciwnem popędowi samozachowawczemu, nie może być poczytanem za objaw instynktu bez względu na to, czy będziemy w niem upatrywali dzieło rozwoju naturalnego, czy też akt twórczej mądrości.

Lecz w takim razie nie pozostaje nic innego. jak uznać, że samobójstwo zwierząt podobnie jak ludzkie, jest objawem czynności rozumowej, zdającej sobie dokładnie sprawę z tego, co i jak ma być zdziałanem, ażeby zamierzony cel został osiągniętym.

Otóż zachodzi pytanie, czy zwierzęta posiadają w tym stopniu rozwinięty rozum, ażeby mogły wykonać samobójstwo? Czy zdolne są do tych uczuć i wrażeń, będących zwykle u ludzi głównemi pobudkami targania się na własny byt? Słowem, czy w warunkach ich życia znajdują się czynniki, któreby zdołały stłumić w nich popęd samozachowawczy i ukazać im w śmierci pożądane ukojenie?

Na pytania te nie inaczej możemy odpowiedzieć, jak drogą analogii. Musimy zbadać warunki samobójstwa, jak ono się objawia między ludźmi, i rozpatrzeć następnie, czy one znajdują się w życiu zwierząt. Że wnioski tą drogą nabyte posiadają prawomocność logiczną i można im zaufać, przemawia za tem sama natura umysłu, który, jako wytwór rozwoju i przystosowania się, musi zostawać w zgodności z warunkami życia.

(D. n.).

Władysław Kozłowski.

O ŹRÓDŁACH CHOLERY.

Znane czytelnikom naszym odkrycie d-ra Kocha nie przestaje być przedmiotem sporów pomiędzy uczonymi niemieckimi. Jedni starają się pogodzić specyalne baccilla choleryczne z dotychczasowemi zdobyczami wiedzy, inni dokonane obserwacye własnemi uzupełniają spostrzeżeniami, wszyscy zaś jednomyślnie pracom w tym kierunku prowadzonym niepospolitą przyznają doniosłość. Cokolwiekbądź jednak, zanim na podstawie badań Kocha będzie można przeciwko owej zarazie zabójczej przedsięwziąć bardziej radykalne zapobiegawcze środki, wypadnie wprzód, zdaniem tych uczonych, dwa wyświetlić pytania *). Po pierwsze: w jaki sposób i przy jakich okolicznościach tworzy się nowo odkryty zarazek choleryczny? Powtóre: jaką drogą i pod jakimi warunkami dostaje się on do organizmu ludzkiego? Podług prof. Kocha, bakterye choleryczne tylko w stanie wilgotnym skutecznie przyjmują się w organizmie, skąd wynika dalej, że wprowadzone zostają do żołądka i przewodu pokarmowego razem z wodą do picia lub innymi pokarmami. Temu przypuszczeniu atoli sprzeciwia się fakt, skonstatowany przez samego Kocha, że rozwój owych zarazków odbywa się jedynie w płynach alkalicznie reagujących i że kwas zawarty w soku żołądkowym i wydzielinach kiszkowych rozwój ten niweczy. Czemże więc wytłomaczyć działanie zarazka cholerycznego, skoro, gdy tylko dostanie się do żołądka lub kiszek, odrazu go zabija kwas gastryczny? Mniemają niektórzy, iż, dla usunięcia sprzeczności w tym względzie, przyjąć należy, że oprócz zatrucia wody i możliwości bezpośredniego przeniesienia choroby z jednej osoby na drugą, istnieje jeszcze inny czynnik, w pewnych warunkach sprzyjający powstaniu i rozmnażaniu się baccillij cholerycznych. Czynnikiem tym jest ziemia, która, jak to do oczywistości wykazał Pettenkofer, skutkiem bezustannych w łonie jej zachodzących procesów rozkładowych, stanowi niewyczerpany zbiornik przeróżnych bakteryj, wyziewami swymi zarażających powietrze i stąd dostających się do organizmu. Co do cholery w szczególności, lekarz angielski dr. Cunningham dowiódł, że w Indyach, w delcie Gangesu i Bramaputry, grasowanie cholery ma się w stosunku odwrotnym do wilgoci gruntu i że w Kalkucie np. epidemia choleryczna pięć razy silniejszą jest w porze gorącej i suchej (marzec, kwiecień), aniżeli w czasie gorącym i mokrym (lipiec, sierpień). Prócz tego wielolicznemi doświadczeniami stwierdzono, że pewne miejscowości, położone na nieprzenikliwych dla bakteryj warstwach skalnych lub ziemnych, z tego powodu właśnie oszczędzone zostają przez epidemię i wtedy nawet, kiedy ta w miejscowościach sąsiednich najsilniej grasuje. Że zresztą przy powstaniu zarazy najważniejszą grają rolę warunki miejscowe, a mianowicie natura gruntu, na którym wznoszą się dane budowle—o tem najlepiej przekonywa okoliczność, że cholera wybuchająca w koszarach, więzieniach itp. ogranicza nieraz ataki swoje do pewnej oznaczonej części dotkniętych zabudowań, chociaż w nich wszystkich woda do picia, urządzenie kloak itd. zupełnie są też same. Fakty powyższe jednych prowadzą do wniosku, że musi istnieć pewien podgatunek zarazka cholerycznego, zachowujący zdolność do życia nawet w stanie suchym, innym nasuwa twierdzenie, że grzybek choleryczny, jako taki, wcale jeszcze w ziemi nie istnieje, lecz z niej inny jakiś grzybek pokrewny dostaje się do organizmu i tam dopiero pod pewnymi wpływami w zarazek choleryczny się przemienia. Twierdzenie to popierają powagi takie, jak: Nageli, Buchner, Zopf, Grawitz i Brefeld, którzy utrzymują, że rozmaite rodzaje grzybków łatwo jedne w drugie przechodzą, oraz że wszelkie w organizmie ludzkim i zwierzęcym pojawiające się bakterye pasorzytne, a więc i zarazki chorobne, powstają ze zwyczajnych, nieszkodliwych (saprofitycznych) grzybków zgniliznowych.

W przedmiocie wpływu, jaki wywiera natura gruntu na powstanie epidemii przytaczają jeszcze następujące szczegóły. W czasie grasowania cholery w więzieniu Laufen widocznem było, że wschodnia część budynku więcej była dotkniętą, aniżeli zachodnia. Z pomiędzy 19 stolarzy tam osadzonych, zachorowali i umarli wszyscy, podczas gdy na 22 powroźników, zachorowało tylko 3, a umarło 2. Stolarze ci i powroźnicy jedli *z jednej* kuchni i pili *z jednej* studni. Pracowali jednak i sypiali *w różnych* miejscach.

Do miast, które cieszą się godną zazdrości nietykalnością w wypadkach cholery, jakkolwiek wcale nie stoją wyżej od innych ani pod względem czystości wody do picia, ani też pod względem innych urządzeń hygienicznych, należy zbudowany na gruncie granitowym Lyon w południowej Francyi, dalej Wersal, Salcburg, Insbruk, Getynga, Stutgart i inne. Zasługuje tu także na uwagę, że ilekroć szalała cholera w Monachium, gwałtowność jej zawsze doznawała tamy w przedmieściu Haidhausen stojącem na pokładzie gliniastym, chociaż na przedmieściu tem wszystkie domy takiej samej są konstrukcyi, tak samo są urządzone i zamieszkałe, jak w reszcie miasta.

Oto mniej więcej streszczenie rozpraw wywołanych przez odkrycie d-ra Kocha. Z rozpraw tych widzimy, że w Niemczech nauka z praktyką wciąż idą w parze i że ludzie na seryo myślą o środkach ochronnych przeciwko epidemii strasznej wśród ludzkości zrządzającej spustoszenia.

A u nas — u nas rynsztoki posypują się proszkiem karbolowym...

C.

*) *Fr. Zig.*

LITERATURA UKRAIŃSKA.

VI.

Historya i bibliografia.

Wiedzą zapewne czytelnicy nasi o istnieniu w Kijowie wydawnictwa miesięcznego *Kijewskaja starina.* Pismo to nie jest poświęcone wyłącznie archeologii lub wogóle starożytności, ale historyi, etnografii i poważnej literaturze, traktującej o Ukrainie lub rzeczach z nią bliski związek mających. Pismo to jest coraz lepiej redagowane a widnokrąg jego staje się coraz szerszy i pełniejszy. Wspomnieliśmy o niem dlatego, że jedna z prac historycznych, o której poniżej mówić będziemy — *Zadunajskaja siecz* F. Kondratowicza (osobna odbitka, Kijów 1883) ukazała się tam poraz pierwszy.

Właściwie mówiąc, *Zadunajskaja siecz* nie jest traktatem ściśle historycznym, ale bardzo cennym, prawie jedynym materyałem do ciekawej epoki, obejmującej peryod od upadku, a raczej „ruiny“ Siczy do ostatecznego jej zatarcia się prawie za naszej już doby w Turcyi, gdzie się przytuliła przy ujściu Dunaju. P. Kondratowicz był w Katerlezie, w górnym i dolnym Dunawcu i z ust jeszcze żyjących osób spisał podania i pieśni, opowiadania i legendy, odnoszące się do ostatnich dni istnienia Siczy na obcej ziemi. Wprawdzie traktował ten sam przedmiot Czajkowski (*Kozaczyzna w Turcyi*, Paryż, 1857), ale, jak się zdaje, według innych źródeł. Bogaty materyał zebrał i zapisał p. Kondratowicz z ust jeszcze wówczas żyjącego (w 1882 r.) najstarszego zaporoskiego kozaka, bo 119 lat liczącego, Ananija Kołomyjca.

Ciekawa to postać ten Kołomyjeć. Urodzony we wsi Wielkiej—Piszczanie, niedaleko Bałty; w r. 1794, t. j. na dwa lata przed śmiercią cesarzowej Katarzyny II, dosłużył się stopnia podoficera, ale w r. 1802 uciekł z wojska, bo „czutka piszła szczo naszi za Dunajem, u Tureczyni, szczo tam dobre, taj diad'ko u mene tam buw... Ot ja sobi j dumaju: daj meni Hospody tylki tudy...“ I z pod Odessy uciekł za Dunaj, na Sicz. W r. 1821 powrócił znowu, w 60 roku ożenił się, ale życie familijne widać nie bardzo smakowało staremu kozakowi, bo w 1828 znowu umknął na Sicz, a było to właśnie w czasie wojny Rosyi z Turcyą, kiedy koszowy ataman Hładkij zdradził „towarystwo“ i siczowe regalie: buńczuk, pernacz i topuz (rodzaj noża noszonego za pasem) złożył u nóg cesarza Mikołaja I razem z przysięgą części zaporoskiego wojska. Kołomyjeć w tej liczbie nie był.

P. Kondratowicz na mocy ustnych tradycyj, które spisał na miejscu w Katerlezie, twierdzi, że Sicz zadunajska powstała z tych resztek, które, po zrujnowaniu Siczy zaporoskiej w r. 1775 przez dragonów Tekelego, schroniły się za Dunaj, na Dobruczę, żegnając na drogę koszowego Kalniszewskiego pieśnią:

Ostawajsia-ż pan Otaman
W Siczy z pysaramy...

a sami „posidały na łodoczky taj za Dunaj machnuły.“

Z tego jeszcze bynajmniej nie wynika bezzasadność wniosków Czajkowskiego, jak utrzymuje Kondratowicz, który dowodził (*Kozaczyzna w Turcyi*), że zadunajskie Zaporoże początek bierze z czasów Mazepy, a raczej od tych kozaków, którzy z nim razem schronili się w Benderach (1715). Autentycznych dowodów historycznych jak dla jednego, tak dla drugiego twierdzenia obecnie nie posiadamy; jedynem zaś źródłem, z którego obaj pisarze czerpali, jest—tradycya. Czajkowski, który na trzydzieści lat prawie wcześniej spisywał swoje opowiadanie o dziejach zadunajskiej kozaczyzny z ust opowiadaczy posiadał daleko obfitszy materyał legendowy niż p. Kondratowicz, który znał tylko Ananija Kołomyjca. Zresztą ten sam Ananij Kołomyjeć daje niektóre wskazówki, że wersya opowiedziana przez Czajkowskiego ma pewne prawdopodobieństwo: mówiąc mianowicie o klasztorze Myrnopojan (Poiana Mărulni) twierdzi, że „Wasyl (Bezrukawyj?) Mazepyn szczo pysar,“ który zbudował cerkiew św. Paraskiany w Gałaczu, umarł w tym klasztorze. Widocznem więc jest, że tam znaleźli kozacy Mazepy przytulisko, dokąd, może idąc za tradycyą ustną, uciekli i zaporożcy po zrujnowaniu Siczy. Te dwa fakty dadzą się bardzo łatwo pogodzić i nie są tak zbyt oddalone od sie-

bie, jak się zdaje—bez żadnych dowódów— p. Kondratowiczowi.

Z tem wszystkiem każdy, ktoby się chciał zapoznać z historyą Siczy zaporoskiej przy ujściu Dunaju, z jej organizacyą, nadziejami, walkami i życiem, znajdzie w opowiadaniu tego autora bogaty i ciekawy materyał historyczny.

Teraz z kolei wypada nam zastanowić się nad dziełem p. Petrowa (*Oczerk istorji ukrainskoj literatury XIX stolietija*, 1884). Praca to poważna, chociaż nie samodzielna, napisana przez rosyanina, odznaczająca się sumiennem skompilowaniem krytycznego materyału; swoje opinie i poglądy wypowiada autor rzadko, nie dlatego wcale, ażeby ich nie miał, bo traktowany przedmiot zna z wielką i drobiazgową dokładnością, ale pragnął zachować zupełnie objektywne stanowisko, tj. takie, na jakiem dotychczas *nikt* z piszących o literaturze ukraińskiej stanąć nie potrafił—nie wykluczając nawet takich bazgraczy, jak p. M. S. z *Roli*. Najlepsi znawcy literatury—Kostomarow, Kulisz, Ukrainiec, Wołyniec — nieraz wypowiadają poglądy wprost sobie przeciwne; brak im właśnie nie znajomości przedmiotu, ale z jednej strony spokoju, a z drugiej możności dokładnego przedstawienia własnych zapatrywań. U jednych krytyków narodowość i ukrainofilstwo ścieśniały ramy myśli, u drugich nadto znać walkę — z warunkami słowa publicznego. To się da powiedzieć o pisarzach ukraińskich; u rosyjskich tendencyjność i nietolerancya dochodziły nieraz do grubiaństwa, uwłaczającego godności ludzkiej i tym wszystkim prawom, które w cywilizacyjnym pochodzie ludzkość zdobywała ciężko. „Ukraińskiej literaturze nie nadawano praw obywatelstwa—mówi p. Petrow—traktowano ją lekceważąco, nazywano literaturą chłopomańską, uważano, że ona nie może być przedmiotem poważnych studyów." Samp. Petrow gotów ją także uważać jako „gałąź literatury rosyjskiej" i taki pogląd niby zapowiada na wstępie, lecz później, objąwszy całość materyału, mimowolnie zmienia swoje zapatrywania.

Otóż chcąc zachować możebną przedmiotowość, po największej części „ogranicza się do zestawienia ważniejszych poglądów krytycznych na rozmaite utwory literackie, nieraz bardzo sprzecznych, i sprowadzania ich do *jednego mianownika*." Taki jest celjego pracy; wypowiadając go, mówi z zupełną szczerością, że „dalekim jest od pretensyi wyłożenia wszystkich historyczno-literackich faktów i od objektywności przedstawienia, bo należąc do innego szczepu, może mimo woli własnej objektywność tę naruszyć."

P. Petrow nie jest pierwszym historykiem literatury ukraińskiej, chociaż pierwszy objął jej całość; ale, przyznając jej prawo obywatelstwa w świecie naukowym, zwęził nadto jej granice etnograficzne i tem samem nadał piętno prowincyonalnej, zaściankowej — nazwawszy ją — ukraińską, *a co ważniejsza*, traktując tylko z tego stanowiska. Mimo to zasługa p. Petrowa jest wielką. Przyznając samodzielność etnograficzną literatury ukraińskiej bez określenia wprawdzie jej granic — p. P. w rozwoju jej widzi wielki wpływ literatury polskiej i ocenia go bez zbytecznego rozdrażnienia, co jest bardzo rzadkim objawem w historykach, traktujących z jakiegobądź stanowiska ukraińsko-polskie stosunki. Godzi się on z poglądem Hułaka - Artemowskiego, wypowiedzianym przy otwarciu wykładów języka polskiego w Charkowie, że „polski język może oddać ogromne usługi literaturze ukraińskiej," zasług zaś tych nie zaprzecza. Wprawdzie każdy język kształcący się, każda literatura takiego języka musi zasilać się naśladownictwem ze źródeł pokrewnych; fakt więc ten uważać należy jako rzecz konieczną, wie o tem każdy, ale nie każdy zdobywa się na przyznanie go. Oprócz pisarzy szkoły pseudo-klasycznej, którzy się zapożyczali u nas, należy zanotować Borowikowskiego, który przekładał ballady Mickiewicza; Metlińskiego tłomacza Witwickiego, Suchodolskiego, Odyńca, Czużbińskiego, który wydał *Galeryę polskich pisarzy*, a nawet Szewczenki, w *Osnowie* pomieszczono przekłady z Mickiewicza, Lenartowicza, Niemcewicza, Antoniego Sowy i in. (15). Pokrewieństwo polaków z Rusią, nietylko szczepowe i nie tak dalekie jakby się zdawać mogło z rezultatów sztucznie wywołanego rozdrażnienia, zwracało na siebie nawet uwagę p. Kostomarowa, który utrzymywał, że chociaż południowa Ruś oddala się od Polski budową języka, za to zbliża się wspólnością charakteru narodowego. Ale przy takiem nawet zbliżeniu się leży przepaść, dzieląca oba narody: polacy i rusini—to jak dwie bliskie gałęzie, które rozwinęły się w dwie strony przeciwne: polacy rozwinęli u siebie i ugruntowali zasady „państwa" a rusini — zasady „chłopstwa." Jest to poniekąd słuszna charakterystyka dwu kierunków historycznych w narodach sąsiednich; nad temi ciekawemi spostrzeżeniami nie możemy zastanawiać się tylko dlatego, żebyśmy nadto odbiegli od przedmiotu. Uwaga p. Kostomarowa wydaje nam się o wiele słuszniejszą, niż poetyczne porównanie o dwóch gałęziach rozwijających się w dwóch kierunkach, bo p. Kostomarow, jako historyk *tylko*, nie baczy na to, że każda gałązka posiada nieskończoną ilość ukrytych oczek, które przy najmniejszej chęci ogrodnika mogą przyjąć taki kierunek, jaki się jemu podoba; a rozrósłszy się w dwie przeciwne strony, mogą mimo to wydać mnóstwo drobnych odrośli i z niemi razem tworzyć wielką koronę wspólnego drzewa.

W krótkim poglądzie na najnowszych utworów literatury ukraińskiej, jaki zamierzyliśmy także uczynić, niema dosyć miejsca na wyczerpującą krytykę dzieła o tak poważnym zakroju, jak praca p. Petrowa. To też zmuszeni jesteśmy ograniczyć się tylko do wyrazistszych zapatrywań autora, które stanowią rdzeń jego *zarysu* i rzucić zaledwie okiem na całość i plan dzieła.

(D. n.).

F. Rawita.

LIBERUM VETO.

Zmieniona postać Warszawy.—Ruch wystawowo-wyścigowy. — Panowanie zwierząt ochrzczonych francuskim językiem.—Epos w *Kuryerze warszawskim* i moje nad nim zachwyty.— *Weltblatty.* — Telegramy drutowe i pocztowe.—Wystawa smarowników.—Okazy tanneryzmu.—Dywidenda i wyciąganie gwoździ zębami. — Barkarola.

Gdy cała Warszawa martwieje — teatry puste, dzienniki nudne, sale koncertowo głuchonieme — zaczyna się gwar na Placu Ujazdowskim i Mokotowskiem polu. Wtedy berło „przodownictwa w narodzie" przechodzi do rąk prenumeratorów *Niwy* — szlacheckich, a miasto przybiera całkiem inną postać. Coraz częściej przesuwają się po ulicach powoziki, w których pan jest furmanem a furman panem, przechadzają się w uherbowanych płaszczach dystyngowane konie z igrzysk mokotowskich, tłumy przenoszą się w Aleję Ujazdowską i oglądają bezpłatnie nadciągające okazy bydła, owiec i — za pozwoleniem — zwierząt, których nazwiska przyzwoity człowiek nigdy nie wymawia, chociaż je całkowicie z ogonem i skórą zjada. Jest to przytem pora, w której zawstydzony i upośledzony kopciuszek, język polski, nie śmie się odezwać w eleganckiem towarzystwie, ustępując głosu francuskiemu. Nawet konie rżą do siebie po francusku, bo nie sądzę, ażeby Grand Duc inaczej przemawiał do Tailleventa. Jak się porozumiewają: Fine-Mouche, Hamlet, Mandolina, Vanadis, Morime, Kalkutta, Sir Regent, Tweed, Boddy-Bee itd. —nie wiemy. Jeden figlarz ogier p. L. Grabowskiego ochrzcił się Syllabusem i w jednym wyścigu dobiegł pierwszy do mety. Wcale nas to nie zdziwiło: w obecnych czasach Syllabusy nie tylko na Mokotowskiem polu zwyciężają...

. . . .

Imion zwycięzców na wyścigowym torze, zapisanych w złotej księdze stad, upamiętniać tu nie będę, gdyż nawet odpowiednio ich uczcić bym nie umiał. Kto rad wiedzieć, niech odczyta sprawozdanie *Kuryera warszawskiego*, ale koniecznie *Warszawskiego*, bo żaden inny z takim talentem nie odmalowywa turniejów wyścigowych. Czytając te barwne, pełne iskier elektrycznych opisy, drżysz i żałujesz, żeś nie „zapierał tchu," oczekując rezultatu walki między Syllabusem i Kalkutą. Wierzcie mi — nie żartuję. Gdym sobie sprawił pióro dyamentowe i starł je pisaniem do szczętu, czuję to, nie zdobędę się nigdy na podobny opis. Z całej piersi wzdycham: Boże, czemuż mi poskąpiłeś tego daru! Wszakże nie jestem niczem więcej, jak prochem, drżącym z innymi w świetlanym promieniu genialności ukrytego pod trzema kropkami autora. Jeśli mu to miło, niech przyjmie szczerą moją pokorę.

. . . .

Mam jeszcze drugi powód złożenia hołdu *Kuryerowi warszawskiemu*. Bagatela... *Weltblatt!* Zamieszcza telegraficzne sprawozdania z procesów zagranicznych i zjazdów po kilka szpalt. Prawdziwie wystawowy szyk! Zdaje mi się, że czytam jakąś gazetę niemiecką, w której nad obszernymi artykułami mieści się skromny napis: „Telegraphischer Specialdienst der... Zeitung." Bez żartów! Na kłótni przeróżnych „agencyj" publiczność skorzystała wiele, bo dzienniki warszawskie zaczynają mieć istotnie drutowe i coraz szczegółowsze depesze. Jakże to niedawne czasy, kiedy „telegramy" przywędrowywały do nas pocztą z Wrocławia lub Berlina w wycinkach z gazet niemieckich lub na bibułkach Wolffa! A dziś! Dziś rzeczywiście się telegrafuje do *Kuryera warszawskiego*, *Codziennego*, do *Wieku* itd., a żaden ważniejszy wypadek w Europie nie przemknie bez odbicia się echem w Warszawie. Wprawdzie stara *Gazeta warszawska* jeszcze sobie naiwnie fabrykuje rozmaite dumania pod tytułem depesz lub nadstukowywa drut pocztą... spóźnioną, ale i ona ruszyła się w tym kierunku znacznie. Każdy też prenumerator dzienników warszawskich może dziś zasnąć bez obawy, że połowa kuli ziemskiej przed 24 godzinami nie oberwała się i spadła jako meteor w przestrzeń. To cóś znaczy.

. . . .

W tej chwili wystawa rolnicza już otwarta. Jestem niezmiernie ciekawy, czy też zarządy naszych kolej wystawiły na pokaz... smarowników. Bo nie w tem wielkiego, że Rambouillety i Percherony, dostatnio żywione i próżnujące, dochodzą do pewnej tuszy i siły; ale sztuka utrzymać za 30 rs. miesięcznie człowieka, wystawionego na najstraszniejszą pracę przy obsłudze maszyn kolejowych, śród skwarów i chłodów pod otwartem niebem. Jak mnie jeden z nich zapewniał, po odtrąceniu składki emerytalnej, po opłaceniu oleju, nafty, kar, mieszkania, węgli, najlichszej odzieży, pozostaje im na całomiesięczne życie (nieraz z rodziną) w domu i w drodze 5 do 6 rs.

— Za to — mówił biedak — mam nakarmić siebie, żonę i dzieci, mam je posyłać do szkoły, wykształcić na rozumnych i uczciwych obywateli kraju. Czyż to jest podobieństwem? Czy nędza i rozpacz nie wskazują drogi nadużyć, jako jedynego środka ratunku? Ile siły mi potrzeba, ażeby nie upaść pod takiem brzemieniem! Jeszcze w kwietniu zeszłego roku podaliśmy uniżo-

ną prośbę *do stóp* Wysokiej Dyrekcyi o podwyżkę, dotąd nawet nam nie odpowiedziano.

Otóż milczenie „stóp Wysokiej Dyrekcyi“ objaśniałem sobie jej zamiarem okazania smarowników na wystawie. Byliby oni żywymi dowodami tanneryzmu, który na olbrzymią skalę wykonywa doświadczenia w naszych zakładach przemysłowych. Wyobrażam sobie gromady ciekawych widzów, zebranych przed pawilonem, nad którym wisi tabliczka z objaśnieniem: „Smarownicy D. Ż. W. W. Zanim wyjadą w drogę, muszą po dwie i trzy nocy, nie śpiąc, wyczekiwać kolei w stancyach rezerwowych; potem przez kilkanaście godzin stać na odsłoniętym breku w upały, mrozy i ulewy; dla pokrzepienia się potrzebują tylko 20 kop. dziennie (nawet z rodziną) i mimo to pracują; najtańszy ze znanych dotąd sposobów utrzymania istoty żołądkiem opatrzonej.“

A obok stojący tłusty Rambouillet na to:

— Be-e, jak mi tłuszcz ciąży! Be-e, jak mnie wełna grzeje! Be-e—odstąpię chętnie smarownikom połowę mej paszy, której zjeść nie zdołam!

Ponieważ ludzie nie mogą korzystać ze wspaniałomyślności baranów, więc muszą się odwoływać do litości ludzkiej. Otóż i ja zanoszę prośbę „do stóp Wysokiej Dyrekcyi,“ ażeby łaskawie rozważyła następujące względy. Dywidenda akcyonaryuszów jest rzeczą bardzo piękną, ale niepodobna jej źródeł wypompowywać do ostatniej kropli, bo tryskać przestaną. Kiedy tego najlepszy ze światów chce, niechże nim rządzi wyzysk, ale umiarkowany, nieprzekraczający granic możliwości. Gdyby mnie i moim dzieciom dano jeść tylko pod warunkiem, że ze starych belek będę wyciągał zębami gwoździe, jużcić zabrałbym się do tej roboty. Ale niewątpliwie po kilku próbach wyłamałbym sobie wszystkie zęby i dalej pracować nie zdołał. Czyż wtedy uczciwem byłoby odpędzenie mnie i wyzajęcie szczęk innych? My więcej nie możemy płacić—jeśli to argument słuszny, dlaczegóż nim nie ma być przeciwny: my za tę zapłatę nie możemy żyć.

— Albo to prawda — powiada akcyonaryusz — żyć mogą i będą, nie ci, to inni. Znajdzie się zawsze taki, który gwoździe wyciągnie zębami.

To fakt, dlatego też wnoszę prośbę moją „do stóp Wysokiej Dyrekcyi“ bez nadziei pożądanego skutku.

. . . .

Za to w skuteczność drugiej prośby wierzę. Zaklinam Dyrekcyę Teatrów Warszawskich na wszystko, co dla niej jest drogiem i świętem, ażeby raz wystawiła *Barkarolę* p. Gawalewicza, bo *Kuryer warszawski* i *Echo muzyczne* chyba się zapłaczą ze zmartwienia lub dostaną żółtaczki z gniewu.

. . . .

Przeczytawszy dzisiejsze *Liberum veto*, spodziewacie się już zapewne innego podpisu. Jeżeli was to martwi, pocieszcie się, że jest tylko

Tymczasowy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nowe pismo w Radomiu. — Niezadowolenie *Gazety lubelskiej* z prasy warszawskiej. — Nieco o p. L. S. W. i małych dziewczynkach. — Dwa przykłady wpływu religii na moralność. — Epilog walki o rabina. — sposób sprowadzania deszczu. — Orkiestra w Suwałkach. — Wet za wet.

Po długich oczekiwaniach i zabiegach otrzyma wreszcie Radom wraz z nową linią kolei organ swój własny. Zarząd prasy udzielił d-rowi Rewolińskiemu koncesyę na wydawnictwo *Gazety radomskiej*. O ile młode pismo odpowie interesom miasta i okolicy, nie wiemy; ale wiemy za to, że wraz z innymi swymi towarzyszami dostarczać będzie gazetom warszawskim obfitego materyału. Wszystkie dzienniki nasze piją z tego bezpłatnego źródła, nie troszcząc się o własnych korespondentów na prowincyi. Jeżeli zaś wypadkiem amator jakiś znajdzie się, to przesyła całe szpalty własnych poglądów o tem i owem, lecz o faktach milczy. Każdy szlachcic, który w chwilach wolnych od preferansa i gospodarki bierze pióro do ręki, uważa siebie za wielkiego statystę, i z wyżyn swego stanowiska społecznego wykłada ogółowi kurs filozofii ziemiańskiej. Pisma prowincyonalne, o ile mogą, wypełniają ten brak faktycznych danych, niestety jednak nie wszystkie z jednakowem staraniem i skutkiem. Nie wszystkie też chcą poprzestawać na tej skromnej roli. Oto np. *Gazeta lubelska* skarży się z przekąsem na organa „głęboko poważne i uczone.“ I o co? O to, że „owa skromna i nieposiadająca nigdy wysokich pretensyj prasa służy za materyał do *formowania zlepków z zakresem moralizatorskim*“ a zarazem „dostarcza przyczyn do wyrabiania się ckliwego dowcipu, zabawnego chyba dla samych początkujących autorów.“ Styl tego urywka świadczy, że autor jego nie jest bynajmniej początkującym, bo tak licho po polsku piszą tylko „nasi znani.“ Czegoż jednak chce ów niepoczątkujący literat od prasy warszawskiej, która nie jest przecie temu winna, że *Gazeta lubelska* najwięcej „dostarcza przyczyn do wyrabiania się ckliwego dowcipu?“

Podówczas gdy *Gazeta lubelska* tem się trapi, w *Korespondencie płockim* pluje znany ranżer „na objawy postępowe“ i „kierunek demokratyczno liberalny.“ B. korepetytor młodej prasy p. L. S. W. skarży się, że skwer na starym rynku służy za miejsce schadzek osobom płci odmiennej a rozmaitego wieku, co nie daje spać ludziom poważnym potrzebującym spoczynku w nocy. Z tego błahego powodu nowo pasowany moralista oburza się na nieskrępowaną niczem swobodę, objawy postępowe itd. i wzywa o stosowanie odpowiednich przepisów policyjnych. Pojmujemy rozpacz człowieka, któremu pozostał tylko pociąg... bez lokomotywy, zmuszonego asystować zabawom osób płci odmiennej, ale p. L. S. W. powinien być względniejszym. Jak sam powiada są tam osoby rozmaitego wieku — mogą więc być i przeżyci starcy i nierozwinięte jeszcze dziewczynki. Czy zaś skwer w Płocku, czy ogród Krasińskich w Warszawie—to przecie wszystko jedno.

W okolicach Płońska pewien włościanin oddał synowi gospodarstwo, a dla siebie na utrzymanie wymówił określoną ilość produktów. Syn wszakże udzielał mu ich bardzo skąpo a nawet bił ojca, który, nawiasem powiedziawszy, nie był również wzorem patryarchy, bo dawane mu alimenta przepijał i marnował. Naprężenie stosunków wzrastało coraz bardziej i wreszcie w d. 25 maja, kiedy syn pojechał do kościoła, ojciec podpalił zabudowania i sam się powiesił. Korespondent, który donosi o tym strasznym dramacie, główną przyczynę zła widzi między innemi w braku religii.

Wątpiliśmy zawsze o skuteczności tego zachwalanego środka, na poparcie naszego zdania pozwolimy sobie dziś przytoczyć zamieszczony w *Kuryerze warsz.* autentyczny, bo wyjęty z akt sądowych ustęp z listu złodzieja do swej kochanki. Czytelnicy prowincyonalni wybaczą nam tę wycieczkę na terytoryum warszawskie.

Amator cudzej własności, radząc uwięzionej kochance zwalić całe brzemię występku na niewinnego współtowarzysza, motywuje ten czyn tak: „Zresztą czy myślisz, że on jeden niewinnie siedzi. To wszystko od Boga przeznaczone. Tak on chciał i tak wola jego święta została spełniona.“

W danym wypadku frazeologia religijna posłużyła za płaszczyk, pod którym ukryła się zbrodnia, nie tolerowana nawet zasadami etyki złodziejskiej — a oto drugi przykład, w którym uczucie religijne wybrane zostało jako pomocniczy środek eksploatacyi.

W opoczyńskiem, jak donosi *Wiek*, mieszkał znachor, cieszący się niesłychanem powodzeniem wśród okolicznej ludności. Sława jednak, jaką posiadał, wyszła mu na złe, bo zwróciła nań uwagę policyi. W mieszkaniu lekarza zrobiono rewizyę i znaleziono kompletnie urządzoną kaplicę z ołtarzem, na którym leżały księgi. Było to właśnie ambulatoryum owczarza, w którem udzielał porady pacyentom. Kaplica, ołtarz i księgi, które znachor przewracał tylko, bo czytać nie umiał, działały silnie na wyobraźnię prostaczków, głęboko przekonanych, że świętość miejsca i tajemnicze obrzędy, wykonywane przez owczarza, przyczynią się do ich wyleczenia.

Poprzednio już donosiliśmy o zaburzeniach w miasteczku Grabowcu, wywołanych współzawodnictwem chasydów i talmudystów, obecnie epilog tych zajść rozegrał się w sądzie okręgowym lubelskim. W Turyjsku, na Wołyniu, mieszka sławny rabin, do którego udają się o poradę tysiące współwyznawców. Fanatyk ten, nie ukazujący nawet niewiernym swego oblicza, posiada ogromny wpływ i sławę. Niektórzy z mieszkańców Grabowca odbyli doń pielgrzymkę i powrócili z zamiarem pozbycia się starego rabina, na miejsce którego święty mąż zalecił jednego ze swych protegowanych. Miasteczko podzieliło się na dwie partye, chasydzi założyli nawet nową bóżnicę, zwaną turyjską. Jednakże stary rabin nie chciał ustąpić ze swego stanowiska. Wtedy przeciwnicy oblali w nocy naftą ściany, podparli drzwi i podpalili dom. Na szczęście rabin zdołał ocalić się, dom wszakże spłonął. Podczas pożaru obie partye zwarły się, jedni chcieli ratować, drudzy przeszkadzali, gdyby nie pomoc chrześcian pożar zniszczyłby całe miasteczko. Czy i tutaj uczucie religijne wywarło wpływ umoralniający?

Ciekawy obserwator mógł niedawno dopatrzeć na wielu płotach i parkanach w Kijowie, zwłaszcza na przedmieściach, żywe raki, poprzybijane gwoździami. Okazuje się, że tameczni obywatele naiwnie sądzą, iż raki cieszą się wielkimi względami w „sferach decydujących“ o zmianie atmosfery i że widok męczarni tych niewinnych zwierząt skłoni owe sfery do natychmiastowego zesłania deszczu, byle tylko zapobiedz prześladowaniu swych faworytów. Niewiem, czy środek ten okazał się skutecznym, bądź co bądź jednak, pragnąłbym podać go do wiadomości polskich chłopów, którzy w tym samym celu kąpią w rzekach wyjęte tajemnie z kapliczek figury świętych, co ich nieraz naraża na proces o świętokradztwo. Sądzę, że oba te sposoby dają jeden i ten sam rezultat, kijowski jednak, chociaż bardziej okrutny, jest bezpieczniejszy.

Nadesłano nam z Suwałk sprawozdanie o działalności tamecznej orkiestry amatorskiej, świadczące o godnych pochwały tradach jej kierownika rejenta Stemkowicza. Orkiestra istnieje zaledwie lat kilka i liczy około dwudziestu członków; dochodami z koncertów zasila jednak straż ochotniczą oraz instytucye dobroczynne i posiada już własny swój lokal. Oprócz przyjemności, jaką dostarcza mieszkańcom miasta, sądzę nawet, że wywiera dobry wpływ i na obyczaje, bo już dawno o skandalach w Suwałkach nie dochodziły nas wieści.

Dziennik łódzki podaje ciekawą wiadomość, świadczącą, że czasem i zagranica uczy się u nas. Dotychczas nasi kupcy bankrutowali podstępnie i zarywali domy za-

graniczne, obecnie koledzy ich z za kordonu wyrządzili im podobną sztuczkę. Dobry przykład nie pozostaje bez wpływu.

Nil.

Rawa. Odbywają się tu narady dla obmyślenia środków na założenie 5-cio klasowego progimnazyum. Rząd daje rocznie 6,000 rs., drugie tyle powinni dostarczyć mieszkańcy i oprócz tego złożyć 6,000 rs. na restauracyę gmachu i kupno sprzętów szkolnych. Ubogie miasto ofiarowywa zaledwie 3,000 rs. rocznie, prosząc by zarząd naukowy dodawał resztę; wątpliwem jest jednak, czy żądanie to będzie uwzględnione. Z uwagi na własny interes wypadałoby, żeby obywatele okoliczni zadeklarowali płacić brakującą sumę.

Kijów. Ostatnie posiedzenie „Towarzystwa latopiśca Nestora“ było bardzo ciekawe. Oprócz referatu M. Kuliszera *O adatach u niektórych szczepów gorali kaukaskich*, prezes Towarzystwa p. W. Antonowicz, profesor kijowskiego uniwersytetu, zdał sprawę o niedawno znalezionej księdze pamiętniczej pryłuckiego pułkownika Michała Mołczaka. Do rozpoczętej w r. 1727 kazał pułkownik wpisywać rozmaite bieżące wiadomości—sam pisać nie umiał — i trwało to aż do r. 1742, t. j. do śmierci Michała Mołczaka, kiedy księga przeszła do Andrzeja Mazaraki, wnuka Mołczaka po córce, który też własnoręcznie notował w niej, co uważał godnego uwagi do roku 1787. Między innymi, mniej ważnymi szczegółami, znanymi już z latopisa Samowidzca, znajdujemy opowiadanie o pochodzie Jana Kazimierza w r. 1664, tak znacząco różniące się od innych opisów tego samego zdarzenia, że p. Antonowicz przypuszcza, iż Michał Mołczak sam je dyktował. Znajduje się również w tej księdze ciekawa „czołobitna“ Mołczaka carowej Annie Iwanównie; jakkolwiek z treści nie można wnieść, o co to „bije czołem“ pułkownik, ale za to są ciekawe biograficzne i genealogiczne wiadomości o rodzie Mołczaka, którego już ojciec Teodor był mianowany pułkownikiem pryłuckim przez hetmana Samojłowicza. Fiedor Mołczak rozpoczął służbę pod hetmanem Doroszenką, ale już w r. 1665 przeszedł na lewy brzeg Ukrainy do Samojłowicza, i dostał pułkownikowstwo pryłuckie. W r. 1678 uczestniczył w pochodzie na turków pod Czehryn, za co zaszczycony został hetmańskiem podziękowaniem. Wkrótce jednak, nie wiadomo z jakiego powodu, w r. 1679 był od pułkownikostwa usunięty. W tym właśnie roku Michał Mołczak wstąpił do wojska, W r. 1683 został zwerbowany do milicyi, którą ściągał Jan Sobieski na turków pod Wiedeń; odbył z Janem III potrzebę wiedeńską, a po jej ukończeniu pozostał już w służbie polskiej. Zaprzyjaźniwszy się z Białozierskim pułkownikiem Palijem, marzącym o wskrzeszeniu kozactwa i jego tradycyj na południowej Rusi, służył z nim razem do roku 1696, następnie udał się na Zaporoże, gdzie go doszła wieść o śmierci ojca. Powrócił tedy do Pryłuk i rozpoczął proces o spadek po ojcu, który zakończywszy pomyślnie wstąpił znowu do kozackiego wojska i czynny udział przyjął w wojnach szwedzkiej i szwedzko-polskiej. Kiedy zdrada Mazepy odkryła się, Mołczak, idący w rękę ze Skoropadzkim, za jego wstawieniem się otrzymał pułkownikostwo pryłuckie, gdzie przesiedział do końca życia, gromadząc i skupiając własność ziemską. Dalszy ciąg księgi pamiętniczej, prowadzony przez Andrzeja Mazaraki, zawiera już tylko dopełnienia genealogiczne, dążące do wykazania szlacheckiego pochodzenia i niektóre wiadomości obyczajowo-prawnych stosunków.

Zapewne szczęśliwy wypadek sprowadził ową księgę pamiętniczą pułkownika pryłuckiego do rąk p. Antonowicza, bo inaczej mogłaby pójść na zawijanie masła lub na formy do mazurków u jakiej wiejskiej gospodyni. Nic byłoby w tem nic dziwnego, bo my z zabytkami przeszłości obchodzimy się bardzo po barbarzyńsku. Piszącemu to zdarzyło się raz kupować stare książki i broszury z końca XVIII w. od żydów po *złotemu funt*, t. j. po 15 kop., a między nimi były bardzo rzadkie i cenne; taki sam los spotyka prywatne archiwa szlacheckie. Jak się u nas obchodzą z archeologicznymi, paleontologicznymi i innymi zabytkami poświadczy następujące zdarzenie: W r. 1876 czy 77 przy poprawie nasypiska kolei żelaznej koło Braiłowa wykopano szkielet mamuta czy nosorożca przedpotopowego, już niewiem, ale dość, że złożono to w magazynie; aż dopiero teraz przekonano się, że większej części kości nie ma—zapewne usłużni żydkowie nabyli je tanio na superfosfaty lub do fabryki cukrowej. Pamiętam, że raz na Podolu wykopano „hładuszczyk“ polskich monet epoki zygmuntowskiej, między którėmi było wiele rzymskich i greckich; a oto ekonom, odebrawszy je od parobków, narobił z nich pierścionków i łańcuszków do zegarków. Zaprawdę, nie byłoby źle może, ażeby prawem była naznaczona kara za podobne barbarzyństwa. Ale trudna to sprawa! Znamy i inne wypadki. Kiedy w r. 1845 kijowski gubernator Leontiew zawiadomił rządzący senat, że „złote wrota“ grożą zawaleniem się, otrzymał w pięć lat później rozkaz: zasypać ich ziemią i zbudować nowe. W czasie budowania w Kijowie wiszącego mostu przez Dniepr, kiedy robiono nową drogę, mającą łączyć Peczersk z resztą Kijowa (Spasskij wwoz), plantując pewną część góry, dokopano się do pieczary, którą nazwano „Iwanową pieczarą,“ a która była niezawodnie jedną z najciekawszych, jaką odkryto, bo miała rozmaite napisy i słowiańskie i, jak się zdaje, greckie, a znawcy utrzymywali, że była zamieszkałą przez bracię zakonną monasteru św. Teodozego—dziś Peczerskiego. I tę pieczarę zasypano również. Dosyć i tych przykładów.

Słyszeliśmy, że jeden z reporterów — ale nie *Kijewlanina* bynajmniej—wędrujący od redakcyi do redakcyi, zamierza znowu uszczęśliwić Kijów jakąś *Jutrzenką*. Od *Kijewlanina* i *Zari* padają na nas takie obfite snopy promieni, że oczekiwane światło nowej jutrzenki zastrasza nas, bo może to przedstawi się nam znowu pod formą mętnej powodzi poetycznej lub artykułów, przypominających ćwiczenia szkolne. W ostatecznym razie radzilibyśmy wydawcy zmienić tylko okładkę z szafirowej na różową — daleko piękniejszą — a, wypisawszy na niej złotemi literami rok 1885, przylepić ją do — pozostałych egzemplarzy, ta operacya znacznie zmniejszy koszta wydawnicze.

Fr. R.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 11 czerwca.

Artykuł w *Fortnightly Review*. — Ugoda z Francyą.— Postępy rosyan w Azyi. — Wybory w Węgrzech. — Znów odroczenie sejmu galicyjskiego. — Proces Stelmachera. — Sejm chorwacki. — Słowiańskie kłótnie.— Intrygi w Marokko.

Na bezrybiu dzienniki wysysają raka — artykuł, pomieszczony w *Fortnightly Review*, którego autorstwo przypisują Gladstonowi. Artykuł ten radzi Anglii stanowczo porzucić zachcianki polityki kontynentalnej, zwrócić główną uwagę na interesy kolonij i w tym celu zachowywać stosunki przyjaźni z Rosyą i Francyą, nie dbając o resztę państw, nawet o potężne Niemcy. Pojąć łatwo jak to oburzyło teutonów.

Czy Gladstone jest autorem tego artykułu, czy też nie, polityka jego trzyma się tych samych wskazówek. Z Francyą wszelkie nieporozumienia w kwestyi egipskiej usiłuje zatrzeć. Świeżo podpisana ugoda określa czas okupacyi angielskiej w Egipcie i przywraca międzynarodową kontrolę finansów, z pewnemi zmianami w stosunku do poprzedniego stanu. Umowa ta przedstawioną zostanie innym mocarstwom, a tymczasem burzy parlament angielski.

I stosunki z Rosyą pozostają na dobrej stopie, chociaż wylękniona wyobraźnia szowinistów brytańskich widzi już sotnie kozackie nad brzegami Indusu. Powód do tych obaw dało zajęcie Saraksu, osadzonego poprzednio przez persów, tj. nieznaczne rozszerzenie granicy rosyjskiej w kraju zakaspijskim i podróż generał gubernatora Dondukowa - Korsakowa, który przyjął w poddaństwo rosyjskie plemię saryków. Dotychczas rząd angielski patrzy obojętnie na to i przystać będzie musiał nawet na projektowane przyłączenie do posiadłości rosyjskich afgańskiego Turkestanu. Granice dwóch mocarstw zbliżają się coraz bardziej i w miarę postępów polityki kolonialnej państw europejskich fakt ten powtarzać się będzie w różnych punktach. Kolonie angielskie muszą się więc przyzwyczaić do sąsiedztwa innych europejskich osad.

W Węgrzech odbywają się wybory do sejmu z dodatkami rzadko spotykanymi w innych krajach. Stronnicy różnych partyj staczają formalne bitwy, co wywołuje znowu wmieszanie się policyi i wojska a kończy przelewem krwi. W awanturach tych, jak zwykle, pierwszeństwo mają pp. antysemici, propagujący swe zasady za pomocą kijów i kamieni. Ohydy z tej roboty jest dosyć.

Sejm galicyjski, który miał być zwołany w czerwcu zbierze się dopiero we wrześniu, t. j. obie sesye nieskończone za rok 1883 i 1884 odbędą się razem. Dotychczas przyczyny tego postanowienia nie są wiadome. *Czas* tylko twierdzi, że stało się to na życzenie kraju, czemu przeczą inne gazety. Ale według teoryi stańczyków największa nawet samowola rządu zawsze jest zgodną z życzeniami kraju.

W Wiedniu odbywa się proces anarchisty Stelmachera oskarżonego o zabójstwo bankiera Eiserta i agenta policyjnego Blöcha. Towarzysz jego Kamerer jako dezerter wojskowy stanie przed sądem wojennym. Tym bohaterom przypatrzymy się później.

Sejm chorwacki, zawieszony czasowo z powodu zaburzeń, zebrał się na nowo i spokojniej nieco prowadzi obrady. Obostrzenie regulaminu zamknęło usta „stronnictwu prawa“ tj. skrajnym patryotom chorwackim. Obecnie t. z. partya narodowa, nie dążąca do zerwania z Węgrami, posiada znaczną większość.

Nowo powstało państewka słowiańskie na półwyspie Bałkańskim dawno już wzięłyby się za czuby, gdyby im na to pozwolono. Szczególniej Serbia i Bulgarya żywią do siebie masę urojonych i rzeczywistych pretensyi. Rząd belgradzki obwiniał bulgarów o podsycanie niedawno uśmierzonego powstania, teraz zaś bulgarzy zajęli posterunek Bregowę, należący do Serbii, i nie chcą go opuścić. Wojny z tego powodu nie będzie, bo nie pozwolą na tą na to inne państwa, ale do zatargów a nawet bójek łatwo przyjść może.

Zasmakowawszy w łatwych podbojach zamyśla podobno Francya o zajęciu Marokka a przynajmniej o rozszerzeniu kosztem tego państwa granic Algeryi. Starannie ukrywany zamiar wyjdzie się przed czasem, ani Anglia, ani Hiszpania na zajęcie Marokko nie pozwolą obecnie, ale urwanie kawałka jego terytoryum udać się może.

CUDZE GŁOSY.

Bilans ruski. Jakiś rusin, widocznie ksiądz, przesłał *Kuryerowi poznańskiemu* komunikat, zatytułowany „Bilans peryodyczny, w którym składa rachunek z „gotówki i kredytu“ ruskiego, właściwie tylko kleru ruskiego.

„Gotówką czyli kapitałem — powiada—to my, rusini. Zdawałoby się, że tworzymy całe legiony, w rzeczywistości jednak jesteśmy mało czem więcej, niż zerem. Kapitał więc nie wysoki, przy dobrym atoli obrocie można zdobyć kredyt obszer-

niejszy—tę drugą podstawę operacyi. Przypatrzmy się jej. Przeszło dwadzieścia lat był św. Jur fortecą operującą i siły współdziałające się tam koncentrowały. Za pomocą zawisłego we wszystkiem kleru wiejskiego operowano kredytem społecznym i politycznym na podstawie kredytu religijnego. Gdy ten ostatni mało był podejrzywany, rozwijano operacyę społeczne i polityczne z dość szczęśliwem powodzeniem. Lecz przyszła chwila, w której kredyt religijny chwiać się począł. Zostający pod absolutną władzą św. Jura z jednej, a pod kaprysami starostów z drugiej strony kler ruski przejrzał wreszcie i opuścił swych prowodyrów. I stało się, że wybory do sejmu i Rady państwa wypadły tak dziwnie, że ledwo trzech rusinów wybrano, z których każdy reprezentuje inny kierunek polityczny a wszyscy trzej razem nie mają żadnego *politycznego kredytu.*

Została jednak św. Jurowi broń przeciw klerowi — egzamina prosynodalne, ten ostracyzm świętojurski, który tak hańbiąco oddziaływa na kler i jego władze, że kompletnie poderwał *kredyt moralny.* Że tak jest, najlepszym dowodem usunięcie kwestyi kongrualnej z porządku dziennego i nieobecność kleru na wiecu.

Widzimy tedy, że kredyt, jeżeli nie całkowicie, to w znacznej części stracony u rządu — w Rzymie chwieje się także, w kraju go bardzo mało, ale, co najważniejsza i najsmutniejsza, że i u siebie go nie mamy, kiedy kler nie dowierza swojej władzy, a władza, rada ze swego ostracyzmu, nie myśli podnieść powagi kleru."

Radę i sens moralny wysnuwa autor taki:

„Dopóki nie przyjdziemy do tej zasady, iż każdy kapłan jest przynajmniej tyle godnym, ile egzaminator prosynodalny, dopóty do kredytu nie przyjdziemy."

Ale jak dojść do tej zasady?.. Gubiącego się w ogólnikach autora artykułu w *Kuryerze poznańskim* wyręczy zapewne i sprostuje, gdzie należy, korespondent nasz *Z Czerwonej Rusi.* Przedmiot godny w każdym razie uwagi i rozjaśnienia,

Z kim i z czem. W dalszym ciągu swej niecnej uprawy paszkwilu, w której od pewnego czasu uczestniczy humorysta lwowski p. Jan Lam, *Kuryer poranny* zamieścił przeciw nam znane czytelnikom oszczerstwo, jakoby *Prawda* „*z zasady* napadała ludzi" i „*z zasady* odmawiała im *wszelkiego* zadośćuczynienia." Nie ochrzciwszy nawet tego noworodka właściwem imieniem, zauważyliśmy tylko w numerze poprzednim, na podstawie wiadomych nam zeznań pp. J. Hiża i E. Piltza przed sądem honorowym, że *Prawda* nie napada i satysfakcyi nie odmawia, ale „odmówił jej *Kuryer poranny* w r. 1877 (przez pomyłkę wydrukowano: 1876)." Pomimo że uwaga ta wyrażona była w formie czysto przedmiotowej i przyzwoitej a nie zawierała żadnego zarzutu osobistego, ściągnęła ze strony *Kuryera* na redaktora *Prawdy* taki grad obelg, jaki tylko z najbardziej rozkiełznanych ust wylać się może. Ich sromotna gama przebiegła od tonów „nikczemności" i „bezczelności," aż do „kopania" i „szczekania." Zdaje się, że najmizerniejszy szynk, oczyszczany w nocy z awanturników przez policyę, nie wyrzuca z siebie gorszych bezeceństw. Nie była to już polemiczna złośliwość, ale cyniczna rozpusta języka, zapełniająca błotem przepaść, dzielącą wymyślającego od wymyślanego. Śród tej pomyjowej ulewy odpowiedzialny za nią p. F. Fryze wypłaciwszy nam z góry całą sumą osobistych splugawień, „wezwał" redaktora *Prawdy* „o wskazanie publicznie, kiedy i komu *Kuryer poranny* odmówił satysfakcyi," zobowiązując się „spełnić wszystko, czego zażądamy," „jeżeli poprzemy zarzut." Naturalnie na takie „wezwanie" z akompaniamentem obelg my możemy odpowiedzieć tylko wzgardą i zaregestrować je do akt, z których prędzej czy później wystąpić musimy przeciw p. Fryzemu przed kratki sądowe. Ponieważ wszakże śród czytelników naszych może się znaleść ktoś wątpiący o dobrej wierze *Prawdy*, która nigdy nie kłamie i nie spotwarza nikogo, chociaż omylić się zdolna, ponieważ nadto protokół sądu honorowego, zawierający zeznania pp. Piltza i Hiża nie został jeszcze przygotowany a dwu sędziów wyjechało z Warszawy, przeto dla usunięcia wątpliwości ogłaszamy z wolą i wiedzą autora list b. redaktora *Kuryera codziennego*, p. Józefa Hiża, do nas pisany:

„Szanowny Panie. Na żądanie Pańskie oświadczam, że w r. 1877, wskutek artykułów pomieszczonych w *Kuryerze porannym* przeciwko p. E. Piltzowi, udaliśmy się z nieboszczykiem Janem Noskowskim do redaktora tego pisma p. Feliksa Fryzego z żądaniem honorowego zadośćuczynienia. P. Feliks Fryze oznajmił, że zadośćuczynienia nie da, gdyż wystąpił już na drogę sądową, o czem bezwłocznie p. Piltza uwiadomiliśmy. Z poważaniem Józef Hiż. Warszawa, 11 czerwca 1884 r.

Nie wchodząc w rozpoznanie tej kwestyi i nie przytaczając zeznania p. Piltza, pytamy każdego uczciwego człowieka, czy popełniliśmy „potwarz?"

Czy p. Fryze odwoła rzucone na nas obelgi lub — mówiąc jego językiem — czy je „odszczeka" — to dla nas jest zupełnie obojętnem. Pragniemy tylko, ażeby czytelnicy zwrócili uwagę, *z kim i z czem* my walczyć musimy. Wszystkie uczucia słabną tu wobec odrazy!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sądy ławników. W gazetach rosyjskich krążą pogłoski o wprowadzeniu w Królestwie zamiast sądów przysięgłych—sądów ławniczych, znanych w Niemczech. Mają być wybierani przez rząd z listy kandydatów i posiadać znajomość języka urzędowego.

Inspekcya fabryczna. Pomimo odroczenia prawa o opiece nad małoletnimi robotnikami, ministeryum finansów teraz dopiero wygotowało projekt urządzenia inspekcyi fabrycznej. Na czele jej stanie inspektor główny, w każdym zaś okręgu (których jest 9) będzie osobny inspektor okręgowy.

Jeszcze projekt. *Nowoje Wremia* donosi, że w wyższych sferach powzięto projekt mianowania inspektorami uniwersytetów jedynie wojskowych, którzy korzystać będą z prawa noszenia munduru.

Konkurs. Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu ogłosiło konkurs na napisanie dzieła: *Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych dokładnie znanych sejmów (1548) aż do zagęszczającej się praktyki „liberum veto" w XVII wieku.* Termin ostateczny do złożenia rozprawy 15 lutego 1886 r. Już to powtórnie towarzystwo wyznacza ten sam temat.

Towarzystwo uczącej się młodzieży polskiej zawiązało się w Paryżu. Zamierza ono pomagać wszechwładnie i pieniędzmi przybywającym tutaj kształcić się polakom. Stowarzyszenie nie ma na celu żadnej agitacyi politycznej lub socyalnej.

Kasa emerytalna dla nauczycieli szkół ludowych przyjdzie już wkrótce do skutku.

Teatrzyki ogródkowe rozpoczęły przedstawienia. W r. b. aż trzy towarzystwa prowincyonalne zjechały do Warszawy.

Bibliografia polska. Ad. Ant. Kryński *Gwara zakopańska* Studyum dyalektologiczne, Kraków.

— Władysław Frydro *Rzecz o nawozach miejskich,* Warszawa.

— Jan Kochanowski *Dzieła wszystkie.* Wydanie pomnikowe, tom II, Warszawa.

— *Pamiętnik Tow. Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem.* Warszawa,

— Laveleye *Socyalizm współczesny.* Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Br. Chlebowski *Nieboska i Irydyon,* zarys rozwoju duchowego poety w pierwszym okresie twórczości poetyckiej. Warszawa.

— Felicyan *Utwory powieściowe* I. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— J. I. Kraszewski. *W pocie czoła.* Z dziennika dorobkiewicza. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Piotr Jaxa Bykowski *Pamiętnik włóczęgi*: Myszures. Piękne gałganki. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Feliks Szanlawski *Z czarnej godziny.* Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Józef Sporny *Tektura i zastosowanie jej w budownictwie*, Warszawa.

Bibliografia łużycka. Wilhelm Bogusławski a Michał Hórnik: *Historija serbskeho naroda.* Budyszyn.

— Serbowie łużyccy mają obecnie 7 pism, z których sześć wychodzi w górno łużyckiem a jedno, tygodnik *Bramborske Nowiny,* w dolno-łużyckiem narzeczu. Najwięcej prenumeratorów liczą *Serbske Nowiny* wydawane przez Smolera, a jedynem literackiem pismem jest miesięcznik *Łužica.*

Ładny samorząd. Grodno, posiadające 112,000 rs. dochodu rocznego, przeznacza na cele oświaty 2,750 rs. a na dobroczynność 1000. Białystok zaś, mający dochodu 70,000 rs., na oświatę wydaje 764 rs. a na dobroczynność—nic. Ciekawa rzecz, ile oba miasta wydają na pensye pp. członków zarządu?

Curiosum. Niemiecki uniwersytet w Czerniowcach posiada na wydziale filozoficznym 17 zwyczajnych i 10 nadzwyczajnych profesorów a tylko 16 słuchaczów.

Dobra informacya. Dziennik niemiecki *Ausland* zapewnia, że zachodnia część Królestwa jest zupełnie zniemczoną. „Obywatele synów swoich posyłają do szkół zagranicę, gospodarstwa prowadzą na wzór szląskich a lud mówi po niemiecku!"

Produkcya papieru. Na całym świecie istnieje, według opracowań komisyi zwołanej w Paryżu 3985 fabryk, wyrabiających 950 milionów kilogramów papieru. Połowa tej ilości zużywaną bywa do druku, a mianowicie: na książki wychodzi 176 a na dzienniki 300 milionów kilogramów. Anglik spotrzebowuje rocznie 11 funtów, amerykanin—10, niemiec—8, francuz—7, hiszpan — 1, a my jeszcze mniej.

Statystyka. W Królestwie znajduje się 120 miast i 327 miasteczek, czyli t. zw. osad; w pierwszych liczą 1,159,251 mieszkańców, w tem 402,676 żydów, w drugich — 525,587. Cyfry te są daleko niższe, niż w rzeczywistości, jak to okazało się ze spisów jednodniowych, dokonanych w kilku miastach gubernialnych.

— Według wykazów celnych sprowadzono w r. z. do Królestwa 73,860 butelek szampana, o 16,500 mniej niż w roku poprzednim.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. W. Kr. w Lublinie. Z powodu ciężkiej choroby w rodzinie, redaktor *Prawdy* nie może w tej chwili zadośćuczynić żądaniu Pana.

Niedziennikarzowi. Miałeś Pan zupełną racyę, wyrażając swoją „radę" bezimiennie. Szanujemy tę nieświadomą wstydliwość.

Kółku. Zapowiedzi naszej widocznie nigdy Panowie nie czytaliście i sami ją improwizujecie. Przyrzekliśmy 1-go lipca ukończyć dzieło Brandesa i w następnych kwartałach czterech wydać w bezpłatnym dodatku polskie opracowanie *Ekonomii społecznej* według dzieła, napisanego przez grono uczonych niemieckich. Dlaczego Panowie czekacie „od nowego roku" na jakiś „zbiór dzieł ekonomicznych *podług zapowiedzi*" — nie pojmujemy.

P. Ludwikowi M. P. Karłowicz odpowiada, że objaśnienie wyrazu *prześcieradło* wziął z rozprawy Baudoina de Courtenay (*O drewnie-polskom jazykie,* Lipsk 1870). Tam Pan znajdzie uzasadnienie wywodu.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

DLA ABONENTÓW „PRAWDY"

Następujące książki prenumeratorowie *Prawdy* nabywać mogą za zniżoną do $^2/_3$ *w nawiasach* podaną cenę. Nabywcy z prowincyi na pokrycie kosztów przesyłki płacą cenę katalogową, obok umieszczoną.

Do nieznajomej, nowelle z rękopisu znalezionego, przepisał Leopold Mejet, tom I (80) 1.20
Matki i karmicielki. Napisał Antoni Skórkowski (z Medowatej na Ukrainie) (20) 30
O bladnicy. Wykład popularny na użytek publiczności nielekarskiej, przystępnie opracował prof. dr. Łuczkiewicz (40) 60
O żydach i kwestyi żydowskiej przez Elizę Orzeszkową. Wilno, 1882 (45) 70
Patryotyzm i kosmopolityzm, studyum społeczne Elizy Orzeszkowej (80) 1.20
W ozdobnej oprawie (1.20) 1.80
Pierwszy krok nauki systematycznej dla nauczycieli i wychowawców, ułożył H. Wernic. Wilno 1883 (1.—) 1.50
Poezya w wychowaniu przez dra Piotra Chmielowskiego (20) 30
Pokociło się i dam nogę, scena z życia dwu braci p. E. Orzeszkową (20) 30
Poradnik dla osób wybierających książki dla dzieci i młodzieży p. J. Karłowicza (25) 40
Przesądy wychowania, studyum pedagogiczne przez W. Marrenè Morzkowską (80) 1.20
Sąd honorowy, komedya w 5-ciu aktach przez E. Lubowskiego (60) 90
Sylwek Cmentarnik, powieść przez Elizę Orzeszkową (1.20) 1.80
Studya nie z natury p. W. Spasowicza. Wł. Syrokomla. Marcin Matuszewicz jako pamiętnikarz. W. Pol jako poeta, Szekspirowska historya tragiczna o królewiczu duńskim Hamlecie (1.—) 1.50
Typy i obrazki krakowskie nowelle p. M. Bałuckiego (90) 1.35
Wady naszych sadów p. E. Jankowskiego (20) 30
Widma, powieść p. E. Orzeszkowa (40) 60
Wł. Syrokomla, studyum literackie p. W. Kościałkowska (35) 50
Z przeszłości, fragmenta dramatyczne (Hypatya, Wesalius, Galileusz) (60) 90
W ozdobnej oprawie (90) 1.35

Również dla abonentów „Prawdy" zniżona cena słynnego dzieła Karola Darwina: *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt,* przełożył dr. Dobrski. Dzieło to ozdobione licznymi drzeworytami i światłodrukami. Cena rs. 3, dla abonentów *Prawdy* rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 50.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Іюня 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**